Matei Brunul: Z życia marionetek.

LUCIAN DAN TEODOROVICI

MATEI BRUNUL



AMALTEA

Barbara Lekarczyk-Cisek

Nominowana do Angelusa powieść Luciana dan Teodorovici opowiada historię komunistycznych zbrodni, posługując się wieloznaczną metaforą teatru marionetek. Tak jeszcze chyba nikt tego nie opowiedział…

Bohaterem opowiedzianej przez rumuńskiego pisarza historii jest lalkarz – Bruno Matei, urodzony w rumuńsko-włoskiej rodzinie, który dostaje się w tryby komunistycznego terroru. Powieść jest ukazaniem losów pojedynczego człowieka, ale zarazem – jak pisze w przedmowie autor – „jest sumą losów wielu ludzi, którzy musieli się zmierzyć z rumuńskim systemem więziennym". Aby jednak podkreślić, że łączy historię z fikcją, autor odnosi się do prawdziwych okoliczności, wplatając do swojej prozy także postaci historyczne. Wydarzenia historyczne są rodzajem tła dla wydarzeń fikcyjnych. Pisarza bowiem interesuje przede wszystkim pojedynczy człowiek i to, co się z nim dzieje pod wpływem straszliwej opresji, której zostaje poddany.

Bruno – Pinokio à rebours

Historia Brunula (rumuński odpowiednik włoskiego imienia

Bruno) odsłania się przed nami stopniowo – w retrospekcjach. W czasie teraźniejszym jest on 38-letnim lalkarzem, trochę zdziwaczałym samotnikiem, który nie rozstaje się z marionetką nazywaną Bazylkiem. Cierpi na osobliwy zanik pamięci, który polega na „wymazaniu" z życia ostatnich dwudziestu lat. Właśnie owe lata odsłaniają się przed nami nieśpiesznie w kolejnych retrospekcjach i pozwalają zrozumieć myśli i zachowania Bruna.

Bohater snuje rozważania o duszy marionetki, z którą się nie rozstaje, a myśli te są bardzo osobliwe. Uważa mianowicie, że każda marionetka ma duszę, będącą jej punktem ciężkości, którego poznanie gwarantuje całkowite panowanie nad nią:

Życie marionetki jest w rękach marionetkarza – sądzi Bruno. *Nigdy nie będziesz mógł poruszać lalką i sprawić, aby żyła tak jak chcesz, jeżeli nie nauczysz się kontrolować dogłębnie jej duszy.*

Doskonale rozumiemy, że słowa te odnoszą się do człowieka, który został poddany systemowi opresji. To system pragnie nad nim całkowicie zapanować i czyni to latami, za pomocą różnych wyrafinowanych metod. W powieści Teodorovici człowiek ma stać się jak marionetka – niemy i bezwolny wobec oskarżeń, nawet najbardziej absurdalnych.

W 1950 roku Bruno zostaje oskarżony w procesie

„odpryskowym”. Ma wraz z innymi „wywrotowcami” zeznawać przeciwko swemu dobroczyńcy, byłemu ministrowi – Lucretiu Pătrăşcanu (postać historyczna). Poddany torturom, podobnie jak pozostali, przyznaje się do winy i zostaje skazany na kolonię karną. Próby zachowania człowieczeństwa wobec wyczerpującej pracy przymusowej, tortur, bicia i upokorzeń stają się coraz bardziej heroiczne. Bruno w jakimś sensie zastyga bez ruchu, aby tylko przetrwać, nie prowokować oprawców i nie dać im poznać, że zachował coś własnego, ludzkiego… Ciągle ma nadzieję, że warto czekać na prawdziwą wolność, która kiedyś przyjdzie. Tymczasem udaje, że „resocjalizacja” powiodła się, że jest bezwolną marionetką, która zrobi wszystko, co jej się każe. Czy mu się to ostatecznie udało – tego nie zdradzę, aby nie odebrać czytelnikom przyjemności odkrywania tajemnic Bruna. Powieść trzyma bowiem w napięciu do końca i do końca pozostaje nieoczywista – jak ludzkie życie.

Metafora teatru marionetek

Najpiękniejsze w prozie Luciana dan Teodorovici są metafory nawiązujące do teatru marionetek, w tym traktat bohatera, napisany przez niego po wielu studiach i latach terminowania w zawodzie. Wywodząc istnienie teatru lalek z odległej starożytności, kiedy to przedstawienia lalkowe niosły ze sobą ważkie treści na temat ludzkiej egzystencji, daje do zrozumienia, że ani na jotę się nie zestarzały. To, co mówi o marionetce – te

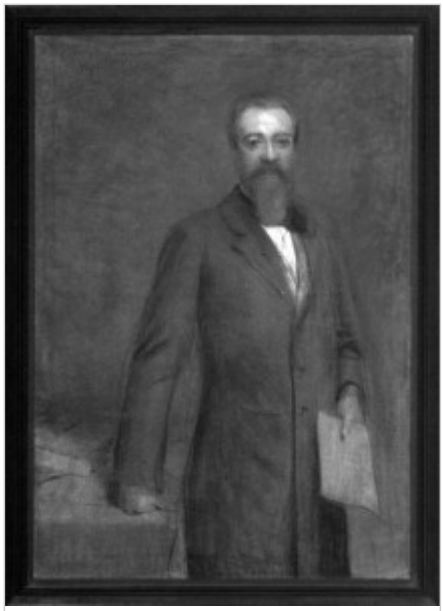
wszystkie myśli dotyczą jego samego i pozostają ważnym elementem narracji. Dzięki nim możemy zrozumieć, co się dzieje z człowiekiem i ze światem wokół niego, jeśli próbuje się go zniewolić i potraktować jak bezduszną kukłę. Podobnie, jak w „Traktacie o manekinach" Bruno Schulza: człowiek staje się „przedmiotem niższej rangi". Dążeniem komunizmu było stworzenie „nowego człowieka" – całkowicie poddanego władzy i pozbawionego ludzkich, normalnych uczuć. Słowem – marionetki. Bo marionetkami zarządza się łatwo.

Książka Luciana dan Teodorovici „Matei Brunul" ukazała się w Wydawnictwie Amaltea.

http://kulturaonline.pl/

Kościelscy i ich dzieło

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Pastel Leona Wyczółkowskiego, „Potret Józefa Koscielskiego”, 1899. Z dawnych zbiorów Koscielskich w Miłosławiu. Źródło: Muzeum Narodowe w Poznaniu.

Zgodnie z testamentem Moniki Kościelskiej, w zmarłej w 1959 roku w Genewie, w tym samym szwajcarskim mieście, w 1961 r. została założona Fundacja im. Kościelskich, Celem jej miało być wspieranie literatury polskiej poprzez przyznawanie nagród młodym twórcom zarówno tym mieszkającym w Polsce, jak i za granicą. Przeznaczając fundusze należące do rodziny na taki cel, Monika Kościelska chciała upamiętnić swoich tragicznie zmarłych najbliższych – męża Władysława Augusta i syna Wojciecha.

Władysław był bibliofilem, miłośnikiem literatury i sztuki, wydawał pismo literackie „Museion”, Był także tłumaczem i autorem dwóch tomików wierszy. Gdy Polska po wielu latach zaborów odzyskała niepodległość, podjął się wydania skarbów literatury i przyczynił się do ich należytego opracowania. W 1920 roku z inicjatywy Władysława Kościelskiego i przy jego nakładach finansowych powstał Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska – spółka akcyjna z siedzibą w Warszawie i filią w Bydgoszczy, gdzie została zakupiona drukarnia. Prezesem Rady Nadzorczej został poeta Jan Kasprowicz. Instytut wydawał arcydzieła literatury polskiej (m.in. Żeromskiego, Wyspiańskiego, poetów młodopolskich). Do 1933 roku w serii Wielka Biblioteka przeznaczonej dla szkół, ukazały się 144 tomy tekstów lektur z komentarzami wybitnych krytyków literackich. Przy ulicy Nowy Świat w Warszawie otwarta też została nowoczesna i przyjazna czytelnikom księgarnia. W okresie wielkiego kryzysu, który

dosięgnął i firmę wydawniczą Kościelskiego, Instytut podupadł. Mogło być to przyczyną samobójczej śmierci Władysława w 1933 roku.



Monika Koscielska. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Po śmierci męża Monika Kościelska kontynuowała jego prace. Pod jej zarządem wychodziły nowe serie wydawnicze – Biblioteka Podróżników Polskich, Biblioteka Podręczna Nauczycieli i

Rodziców „Nowa Szkoła”, Pojawiły się książki o Warszawie, zeszytowe wydanie na temat malarstwa europejskiego, wychodziły encyklopedie, wydawnictwa prawne i polityczne. Instytut Wydawniczy w 1939 roku zatrudniał 600 osób. Jego działalność przerwała wojna.

Wojciech, jedyny syn Moniki i Władysława Kościelskich, niezwykle przeżył śmierć ojca. Odbiło się to na jego późniejszym życiu. Podczas II wojny światowej, mimo danej matce obietnicy, że zgłosi się na studia we Fryburgu w Szwajcarii, postanowił walczyć o Polskę. Zaciągnął się do Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem Francuzów. Przebywał w stalagu, z którego ze względu na stan zdrowia został zwolniony. Potem przez Polskie Dowództwo Naczelne został mianowany adiutantem generała Juliusza Kleeberga. Kiedy Polskie Siły Zbrojne przeszły pod dowództwo brytyjskie, Kościelski sprawował funkcje oficera wywiadu. Po wojnie Wojciech Kościelski próbował przystosować się do nowej rzeczywistości. Pomagała mu w tym żona, Janina Ruszkowska. Jednak przeżycia młodości, okres wojny, utrata majątku rodowego, sytuacja w Polsce, do której nie można było powrócić – to wszystko źle wpływało na jego psychikę i doprowadziło do samobójczej śmierci w 1947 roku.



Monika Koscielska z synem Wojciechem. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Książka Wojciecha Klasa i Jana Zielińskiego „Kościelscy. Ród, fundacja, nagroda”, została wydana w 2011 roku, z okazji 50-cio lecia istnienia Fundacji. Składa się z dwóch części – w pierwszej opisane zostały losy rodziny, druga część jest kroniką wydarzeń związanych z Nagrodą i jej laureatami. Do tego dochodzą: Aneks,

Spis Członków Rady Fundacji i Jury Nagrody Kościelskich z datami pełnionych funkcji oraz Chronologiczny Spis Laureatów.

Autorem części dotyczącej historii rodu jest Wojciech Klas, absolwent historii o specjalności archiwalnej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Nie tylko napisał on pracę magisterską pod kierunkiem prof. dr hab. Bohdana Ryszewskiego „Kościelscy herbu Ogończyk", ale i zgromadził największy w Polsce zbiór materiałów archiwalno-bibliotecznych dotyczący tej rodziny. Część zbiorów przekazała mu w 2006 roku wdowa po Wojciechu Kościelskim – Jadwiga z Ruszkowskich Kościelska. Przez wiele lat przeprowadzał kwerendy w archiwach i bibliotekach, uporządkował też archiwum Fundacji w Szwajcarii. Nic więc dziwnego, że jako specjalista podjął się rzetelnej charakterystyki rodu od czasów średniowiecznych począwszy.



Władysław August Koscielski. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Jednym z bardziej barwnych przedstawicieli rodziny był Władysław Kościelski zwanym Seferem paszą, generał w wojsku tureckim, bohater wojen krymskich. Dorobił się fortuny, gdy swoje oszczędności ulokował w akcjach Kanału Sueskiego. Potem stał się słynnym hodowcą koni arabskich i mecenasem sztuki. Kupił średniowieczny zamek Bertholdstein w Styrii, gdzie osiadł na stałe w 1882 roku i przeniósł tam swoją cenną kolekcję obrazów i rzeźb oraz broni orientalnej i ceramiki, W testamencie zapisał zbiory Muzeum na Wawelu, a kilka polskich instytucji naukowych otrzymało od niego pokaźne dotacje. To on zapoczątkował ideę mecenatu kultury.

Część dotycząca dziejów rodziny jest bogato udokumentowana i poparta licznymi cytatami z literatury pamiętnikarskiej epoki, z rękopisów ze zbiorów Biblioteki Czartoryskich w Krakowie i innych materiałów źródłowych. Cytaty naocznych świadków wydarzeń, opisujących postaci, przeplatane komentarzem autora

stanowią ciekawą opowieść i przybliżają czytelnikowi zarówno poszczególnych przedstawicieli rodziny, jak i ogólne idee przyświecające kolejnym spadkobiercom nazwiska – działalność na rzecz społeczeństwa, kultywowanie mecenatu, zainteresowanie literaturą, pielęgnowanie polskich wartości.



Fotografia rodzinna: Józef Teodor Koscielski z żoną Marią z Blochów, matką Józefą z Wodzińskich, ciotką Marią Wodzińską oraz z dziećmi: Katarzyną, Emilią

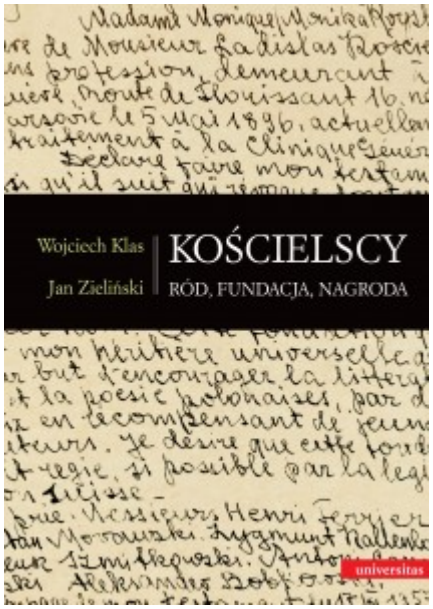
i Władysławem, ok. 1895-1900. Źródło: Archiwum Fundacji.

Autorem części, w której zostali przedstawieni laureaci oraz członkowie jury i inni ludzie związani z Fundacją na przestrzeni 50-ciu lat przyznawania Nagrody, jest Jan Zieliński. Ten krytyk, tłumacz, edytor, znawca literatury polskiej na emigracji, wykładowca na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim, dyplomata, od 2004 roku sam jest członkiem jury Fundacji Kościelskich. Część ta ma charakter chronologiczny, rok po roku zostały pokazane i zdokumentowane wydarzenia związane z zarządem Fundacji, opisem obrad i decyzjami w sprawie poszczególnych laureatów.

…Pierwszym prezezem Fundacji został ambasador Kajetan Dzierżykraj-Morawki – pisze Jan Zieliński. – *Urodzony w roku 1892 w Jurkowie koło Kościana, a więc Wielkopolanin, o 6 lat młodszy od Władysława Augusta Kościelskiego, Morawski był dyplomatą i politykiem, a także ciekawym prozaikiem („Tamten brzeg”). Przed wojną delegat Polski do Ligii Narodów (…). W roku 1941 był ambasadorem RP przy emigracyjnym rządzie. (…) Po cofnięciu uznania Rządowi RP na Uchodźctwie pozostał w*

Paryżu jako nieoficjalny „ambasador wolnych Polaków.

W pierwszych latach działalności Fundacji, w skład Rady wchodzili także Zygmunt Estreicher, Antoni Lanckoroński, Zygmunt Kallenbach, dwaj pisarze z Polski – Jan Parandowski, prezes polskiego PEN-Clubu i Ludwik Hieronim Morstin, który redagował wraz z Władysławem Augustem Kościelskim pismo „Museion". Potem doszli Krzysztof Górski, Konstanty Jeleński, Jacek Woźniakowski, Maria Danilewicz-Zielińska i inni. Wszyscy byli dobrze wykształceni, zaznajomieni z literaturą, o szerokich horyzontach i z głębokim poczuciem patriotyzmu i służby ojczyźnie, niezależnie od warunków politycznych.



Po lekturze Kroniki Nagrody nasuwają się refleksje. Jest to bowiem mini-podręcznik polskiej literatury współczesnej i jej problematyki na przestrzeni pięćdziesięciu lat. Jak niezwykłe wyczucie musieli mieć członkowie jury, aby typować młodych laureatów, którzy w większości przypadków stawali się potem znaczącymi twórcami, zajmując trwałe miejsce w historii literatury lub wybitnymi krytykami tej literatury. Wśród laureatów Nagrody znaleźli się tacy twórcy jak: Sławomir Mrożek, Zygmunt Herbert, Tadeusz Konwicki, Włodzimierz Odojewski, Jarosław Abramow-Neverly, Tadeusz

Nowak, Jarosław Marek Rymkiewicz, Marek Skwarnicki, Urszula Kozioł, Kazimierz Orłoś, Wacław Iwaniuk, Jerzy Harasymowicz, Stanisław Barańczak, Edward Stachura, ks. Janusz Ihnatowicz, Ewa Lipska, Adam Zagajewski, Janusz Anderman, Anna Frajlich-Zając, Tomasz Jastrun, Paweł Huelle, Jerzy Pilch, Wisława Szymborska, Andrzej Stasiuk, Magdalena Tulli, Marcin Świetlicki, Olga Tokarczuk, Jacek Podsiadło, Wojciech Wencel, Tomasz Różycki, Jacek Dehnel i wielu innych. Przecież to pół wieku literatury polskiej. Laureatami zostali pisarze i poeci zarówno mieszkający w kraju, jak i od wielu lat tworzący na emigracji, a przegląd ich dokonań pokazuje nie tylko problemy poruszane w literaturze, ale też wpływ czasów na przekaz artystyczny.

Jan Zieliński, zgodnie z formułą kroniki, skrupulatnie relacjonuje kolejne wydarzenia w kolejnych latach, bogato dokumentując komentarz autorski listami, źródłami, fragmentami publikacji. Pokazuje czym była nagroda, dla twórców w Polsce Ludowej, czym jest dla tworzących obecnie, jakie problemy wynikały podczas głosowania, jakie osoby były typowane i dlaczego, przytacza komentarze. Dzięki tej benedyktyńskiej skrupulatności w odtwarzaniu każdego roku działalności Fundacji, czytelnik ulega atmosferze obrad i duchowi Kościelskich.



Janina z Ruszkowskich Koscielska podczas wręczenia Nagrody Koscielskich w Miłosławiu, 2005 rok. Źródło: Archiwum Wociecha Klasa (fotografia nadesłana przez E. Gajewicz z

Miłosławia).

Widać też wielkie zmiany na przestrzeni lat działalności Fundacji. Przez pierwsze dwadzieścia siedem lat nagroda odbierana była w Genewie. Po 1989 roku uroczystości przeniesiono do Polski. Wręczenie nagród odbywało się w Warszawie, Krakowie oraz Miłosławiu, rodzinnym majątku Kościelskich koło. Poznania. Suma nagrody, nie jest już tak znacząca jak w czasach PRL-u, ale pozostaje wielki prestiż.

Od 2008 roku prezesem Fundacji jest François Rosset. – *Trudno było trafić lepiej* – napisał w swoim pamiętniku Zygmunt Marzys (cyt. za Janem Zielińskim). – *Franek dla polskich przyjaciół, wnuk Zofii Kossak, dziś profesor literatury francuskiej na uniwersytecie w Lozannie, jest doskonałym przykładem podwójnej, szwajcarsko-polskiej przynależności. Urodzony i wychowany w Szwajcarii tu skończył studia, po czym był przez kilka lat lektorem języka francuskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie się doktoryzował u (Jana, aut.) Błońskiego pracą o Janie Potockim (...). W Krakowie też znalazł żonę, w rodzinie, mieszkającej dziś pod Lozanną mówi się po polsku. Sam Franek włada świetnie polskim tak w mowie jak i na piśmie i zna literaturę polską równie dobrze jak francuską.*

Formuła książki jubileuszowej, kronikarskiej i warsztat naukowy autorów spowodował, że pozycja ta nie jest łatwa w odbiorze. Trzeba wejść w środowisko, poznać osoby, przestudiować relacje między ludźmi. Jednak lektura pozostaje na długo w pamięci, czytelnik pozostaje bogatszy o wiedzę i refleksje. Szczególnie dla osób, które kończyły studia w okresie PRL-u, gdy dostęp do wiedzy na temat twórców emigracyjnych był ograniczony, jest to znaczące źródło informacji, dające możliwość uzupełnienia wiedzy na temat współczesnej literatury polskiej.

Książka została opatrzona materiałem ilustracyjnym, przedstawiającym członków rodziny Kościelskich, potem członków Rady Fundacji, pokazującym dokumenty. Ciekawe są też Aneksy, w ramach których dołączone zostały fragmenty prozy Jerzego Pluty („S jak socjalistyczny szpieg, spiskujący samoswojo"), Jerzego Pilcha („Obłoki nad Czantorią") oraz Antoniego Libery („Liryki lozańskie. Wariacje na temat Jerzego Pilcha) – fantastyczna parodia rozdziału „Złe dziecię" z książki Jerzego Pilcha „Spis cudzołożnic. Proza podróżna" Londyn 1993, pokazująca w sposób humorystyczny sytuację Polaka-literata w Szwajcarii w czasach PRL-u.

Wojciech Klas, Jan Zieliński: KOŚCIELSCY. RÓD, FUNDACJA, NAGRODA, wyd. Universitas, Kraków 2011.



Wojciech Kossak u Koscielskich w Miłosławiu.
Źródło: Archiwum Marka Gizmajera z Warszawy.

Między wiernością

a zdradą



Ewa Stachniak

Magda Dunikowska

Jeszcze o „Koniecznych kłamstwach” Ewy Stachniak

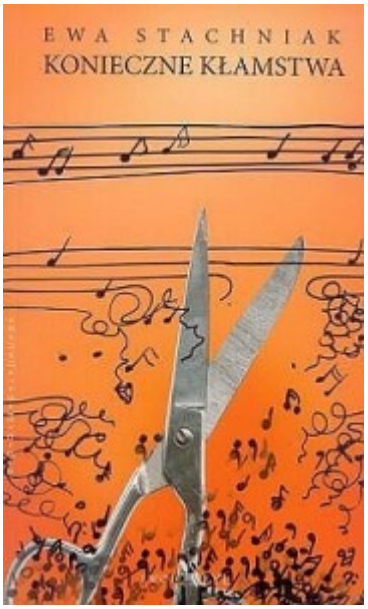
Człowiek składa się marzeń własnych i z historii. Historia zobowiązuje niczym szlachectwo, żąda wierności, stoi na straży. A marzenia dopuszcza w niewielkich ilościach, ot, personel pomocniczy. Nie ma epoki, w której nie znalazłby się jednak śmiałek zdecydowany wystąpić z szeregów wierności, oddalić się na przyzwoitą odległość i podążyć własną drogą. Zwłaszcza w czasach konfrontacji, kiedy nie odnajduje się w tumulcie toczącej się walki, kiedy to czas staje się nagle czarno-biały, kiedy trzeba wybierać między „my" czy „oni" – *„tertium non datur*". Ale czy na prawdę?

Zdrada emigrantów to temat nie nowy. Nowe jest tylko pokolenie, które się właśnie jej dopuszcza i nowa jest jej lektura autorów początku XXI-go wieku. „Optyka Kanadyjczyka" – tak Marta Mizuro odczytała „Konieczne kłamstwa" Ewy Stachniak, tytuł należący do literatury kanadyjskiej, czyli tej *„par excellence"* emigracyjnej. Na jej kartach czytelnik wprowadzony zostaje w nowy krajobraz, nowe widnokręgi poprzecinane stycznymi dobiegłymi nie tylko z narodowych horyzontów. Z jakimi demonami walczą bohaterowie wyzwoleni od ciężaru tradycji? W jakiej mierze podobne wyzwolenie okaże się możliwe? Jaką konfigurację przybiera w literaturze kanadyjskiej kalejdoskop wartości uniwersalnych? Czy globalizacja literatury zdoła dokonać się w sensie pozytywnym? W książce Ewy Stachniak ogniskują się te wszystkie pytania i znajdują odpowiedzi oryginalne, a podane z perspektywy godnej podziwu:

napisane w języku angielskim wprowadzają na scenę trzy pokolenia, trzy kobiety, trzy kraje. I o ile Polaka opuszczającego ojczyznę będzie prześladował problem zdrady kraju, to czy Niemka i jej paroletni synek, uciekając pieszo w mrozie, w styczniu 1945 roku z apokaliptycznego Breslau ową zdradę nie przypisze właśnie swemu krajowi?

Główna bohaterka, Anna znalazła się i odnalazła w Kanadzie, państwie pozornie nieobciążonym historią, w którym marzenia o „normalnym" życiu wydawały się jak najbardziej na miejscu… Jednak tak poszukiwana normalność objawi się w postaci nieprzewidywalnej dla Anny. Zdobyta wolność okaże się bowiem wolnością do konfrontacji z historią własnego miasta. Opowieść w stylu prawie dziennikarskim o Wrocławiu-Breslau, z największym eksodusem współczesnej epoki w tle, nadal właściwie nie znanym, z pewnością będzie odkryciem dla wielu europejskich i kanadyjskich czytelników. Przecież to, co wydarzyło się w tym mieście w latach 1945-47 można śmiało porównać z tragedią antycznej Troi. Najbardziej wówczas zasobne miasto Europy – zgromadzonymi zapasami dla Festung Breslau odżywiali się Wrocławianie jeszcze w 1946 roku – nie tylko legło w gruzach, ten los był przecież udziałem tylu innych podczas tamtej wojny, ale blisko 700 tysięcy jego mieszkańców zostało zeń wyssane wichrem historii, aby już nigdy nie powrócić. Musieli oddać swe piękne miasto przybyszom ze wschodu, tym Polakom, których mimo systematycznych,

przemysłowych starań nie udało się jednak wybić.



Anna rodzi się w parę lat po zakończeniu wojny, z rodziców Warszawiaków, we Wrocławiu ciągle pełnym gruzów. Wspomnienia z dzieciństwa to obrazy placów zabaw nie zupełnie uprzątniętych, z których przynosili niemieckie monety, strzępki mundurów SS, zardzewiałe hełmy. Jej rodzinny dom wrocławski nie kojarzy się z polskimi domami znanymi z literatury: wyposażenie pozostało niemieckie, obrazy, nawet kuchenne porcelanowe pojemniczki z napisem *pfeffer* i *saltz*. Ta obca atmosfera odczuwana jest przede wszystkim przez dziadków i rodziców powtarzających, że mieszkają tu tymczasowo, niewątpliwie przeniknęła też i do psychiki Anny. Nawet po dwudziestu latach korzenie nie wyglądają na zapuszczone. Niemniej polski Wrocław wyrósł na swoiste miasto wolności, właśnie mniejsze obciążenie tradycją narodową ułatwiało zagospodarowanie teraźniejszości. Poharatana wojną pamięć nie ufała już jak dawniej tradycji i miasto udawało, że potrafi stworzyć się samo.

Poryw lodowatego wiatru historii dał się odczuć nagle w marcu 1968 roku. Męski bohater „Koniecznych kłamstw”, Piotr, pierwsza miłość Anny, pojawia się w scenerii Wzgórza Partyzantów, na spiskowym spotkaniu. Parę miesięcy wcześniej

owa piękna przed wojną architektura Wzgórza Liebicha, nigdy później nie poddawana pracom konserwatorskim zawaliła się grzebiąc pod swymi gruzami nowe ofiary. A wydarzyło się to w kulminacyjnym momencie radosnej żakinady, pierwszej po wojnie tak spontanicznej imprezy, kiedy wydawało się, że Wrocław złapał swój własny swobodny oddech… Ale Piotr z „Kłamstw" nie jest bynajmniej tym wzorcowym studentem, którego miesięcznik „Polska" starał się kreować na użytek zagranicznego czytelnika – to Piotr z „Dziadów" Mickiewicza – zwiastun nadchodzącej rewolty. Postać Anny jeszcze wtedy nie odbiega od klasycznej heroiny polskiej: 16-letniego dziewczęcia zauroczonego tajemniczym studentem zapowiadającym czyn zrzucenia jarzma, sowieckiego tym razem. Ówczesne wrocławskie strajki na uczelniach nie prowadzą do tak gwałtownych starć jak w Warszawie czy Krakowie. Pamiętna okupacja Auli Leopoldina mimo symulowanego procesu, nie kończy się pobiciem partyjnych wykładowców, a przybyły do strajkujących rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, Alfred Jahn znajduje właściwe słowa i przekonuje studentów do opuszczenia gmachu. Późniejsze aresztowania mają mniejszy zasięg niż w stolicy, to miasto jednak przeszło swój chrzest rewolty i represji, wykuło swych niepokornych, pierwszych opozycjonistów.

Pierwsza miłość Anny, zwieńczona małżeństwem przetrwa cały ten okres wyroku z zawieszeniem, aż do kolejnych rozruchów. Wówczas jednak starcie ułoży się już według innych podziałów. Piotr pozostaje w roli niezłomnego walczącego o wolność, ale dla

Anny obowiązek trwania na posterunku przestaje być jednoznaczny. Studia na filologii angielskiej otworzyły jej nowe perspektywy, obudziły na inne pragnienia. Kanon zrywów patriotycznych zaczyna ją uwierać, widzi w nim błędne koło. Paradoksalnie, pogarszająca się sytuacja polityczna ofiaruje jej szansę wyjazdu na stypendium do Kanady, czyli wyrwanie się z lokalnego marazmu. Podejmują decyzję jeszcze wspólnie z Piotrem, ale Anna sama wylatuje za ocean. Zobaczyć, jak wygląda „normalne" życie.

Jakie postacie potrzebne były autorce, aby problem zdrady tak przesunąć na mapie XXI-go wieku by czytelnik dostrzegł sens w owijającej go szczelnie historii? Obok Polaków musieli pojawić się Niemcy, nie do pominięcia w dziele o rozmachu powojennej epopei. Jej konstrukcja spoczywa na barkach pięciu głównych protagonistów, których charakter wykuła wojna lub jej konsekwencje, a teatrem jest Wrocław-Breslau: tam zaczynają się i tam wiodą główne nici ich losów. Stamtąd wyjeżdża Anna i tam musi wrócić. Na osi łączącej dwa uniwersytety: wrocławski i Mc Gill w Montrealu obróci się świat tych wyrazistych postaci.
Käthe, córka profesora, wchodzi w dorosłe życie na sekundę przed burzą, nie podejrzewając, że piękny spacer i miłosne godziny letnie nad Odrą z zakochanym, pięknym oficerem SS to ostatnie momenty jej cywilizowanego życia. Potem nastąpi już tylko horror i heroiczny wysiłek: zapomnieć i tak wychować dziecko, jakby nikt jej nie zdradził. Wrocław kapituluje 6 maja

1945 roku, kiedy nie jest już miastem – to „pole nieskończonych ruin, cuchnącej spalenizny, odoru i niezliczonej ilości wielkich much". (W. Kania: Pamiętniki z lat 1945-48).

„Non omnis moriar" – zdaje się mówić Ewa Stachniak. Jej silna bohaterka, Käthe, zdoła przenieść kulturę swego uniwersyteckiego domu rodzinnego na syna.

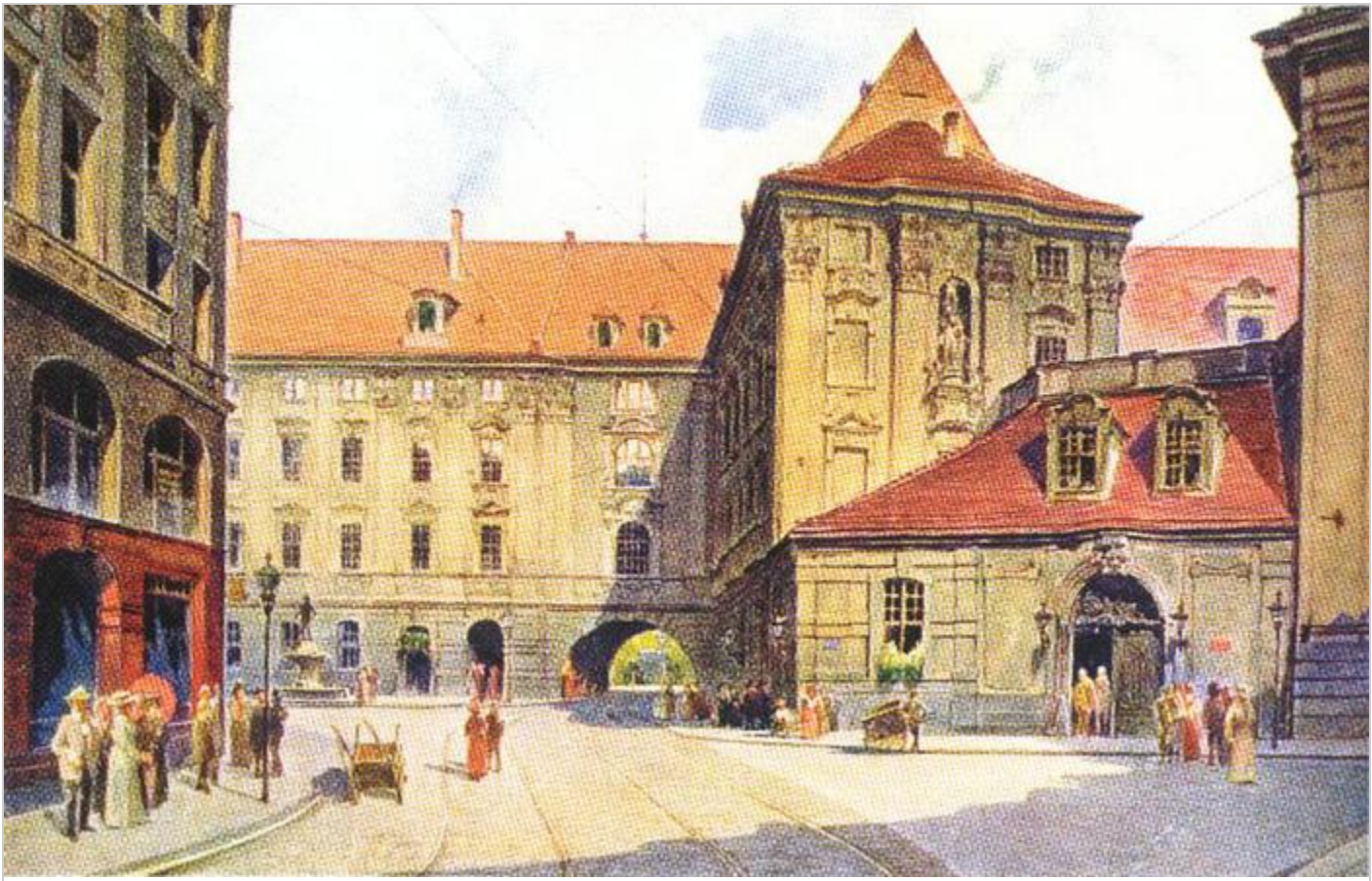
– Willi wyrósł na porządnego człowieka, *„ja"*? – pyta. – Tak – odpowiada miękko Anna – na bardzo porządnego człowieka.

Zwycięstwo nad koszmarem i beznadzieją – to niewątpliwe przesłanie tej powieści. We wrocławskim tyglu dokonuje się zaskakująca metamorfoza tradycji romantycznej. I ten nowy stop dwóch mitów zachowa poświęcenie, ale o jakże innym odcieniu. Lękami wojennej grozy dotknięty jest William, syn Käthe, ów muzykolog z katedry Uniwersytetu McGill, który tak zafascynował Annę i odwiódł od poprzedniej miłości. Polka jednak nie przeżyje jej jako zdrady męża i kraju. „Kiedyś, gdy zakochała się w Williamie, modliła się, by przy nim stać się lepsza, by nauczyć się więcej zrozumieć". Profesor William Hertzmann, przy całym swym talencie muzycznym, nie jest jednak demiurgiem niemieckim, lecz artystą o sercu przeciążonym głuchym pogłosem wojennego dzieciństwa. Ów nowy romantyzm kanadyjsko-wrocławski wieńczy niezwykła sylwetka Ursuli. Innej miłości Williama, fotoreporterki, która

wyłania się niczym Feliks z popiołów dawnych Niemiec. Wypadła z pudła dokumentów pod postacią listów i gwałtownie sparzyła Annę. Zamieniła rozpacz nieutulonej w żalu wdowy na piekący szok. Ursula jest zwornikiem całej powieści, to kobieta teraźniejszości-przyszłości. Dojrzała emocjonalnie, niezależna, wrażliwa, nie ugina się pod ciężarem kostiumu dawnych ról społecznych, ale przede wszystkim jest odważna i gotowa zaakceptować miłość bez wyłączności.

Czym ostatecznie są „Konieczne kłamstwa”? Literaturą rodzących się nowych pokoleń, żyjących w kilku krajach naraz, penetrującą bardziej przenikliwie ów obszar bliższy współczesnej wrażliwości niż klasyczna literatura narodowa? Spojrzenie Ewy Stachniak przekraczając tradycyjne granice nie zwraca się bynajmniej w stronę dawnego kosmopolityzmu czy takiej globalizacji, gdzie kultura owych wysoko wyspecjalizowanych specjalistów wystarczy dla ułożenia akcji czy zamknięcia bohaterów w mrocznych konfliktach ich psychiki. Z kanadyjskiego punktu obserwacyjnego widać najwyraźniej nowe oblicze emigracji: już nie tylko ucieczkę, tymczasową czy trwałą z kraju, który przerażał uciskiem, niewolą, albo jednym i drugim, czy choćby tylko z kraju, który pewnych ambicji nie był w stanie spełnić. Ewa Stachniak jest pierwszą pisarką o wizji, która dostrzega swych bohaterów na jednym, wzajemnie uzupełniającym się planie: Kanady ocieplonej promieniem historii europejskiej.

Książka Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa”, która ukazała się w polskiej wersji językowej w grudniu 2004, nakładem wydawnictwa „Twój Styl” poruszyła swoją problematyką polskojęzycznych czytelników. Wywiad z autorką oraz z tłumaczką powieści Katarzyną Bogucką-Krenz, opublikowany w noworocznym numerze „Listu Oceanicznego” spowodował, że do redakcji zaczęły napływać listy z refleksjami. Wśród nich dostaliśmy tę wnikliwą recenzję, napisaną przez Wrocławiankę, od 1981 roku mieszkającą w Paryżu. „Jestem polską anteną paryskiej EHESS (Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales) – napisała pani Magda Dunikowska – dla projektu, właśnie zaakceptowanego przez Conseil d’Europe, badającego aktualną tożsamość obecnego pokolenia żyjącego w paru kulturach. Nazywa się on MONDES MULTIPLES et IDENTITES PLURIELLES (światy wielokrotnej i mnogiej tożsamości). Niedawno w Polskiej Ambasadzie w Paryżu przedstawiłam tekst wprowadzający z prośbą o przekazanie go polskim uczelniom i zachęceniem do udziału w projekcie. Rozmawiałam z architektem tego programu na temat Wrocławia widzianego przez pierwsze pokolenie rozpracowujące ową wielokrotną przynależność. Temat ten zainteresował go na tyle, iż zaczął rozważać, aby przyszłoroczne seminarium IDENTITE et UNITE de l’HOMME zorganizować właśnie we Wrocławiu! Najwyraźniej nadszedł czas na budowanie takich grup międzynarodowych, w których Polska nie będzie funkcjonować wyłącznie poprzez pryzmat klasycznego modelu Polonii”.



Wrocław na starej pocztówce

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2005 r.

Polskie filmy w Teksasie

Joanna Sokołowska-Gwizdka


Austin Polish Society presents
10th Austin Polish Film Festival
October 22-25 2015
Marchesa Hall & Theater
6406N IH-35

Projekt plakatu: Leszek Żebrowski, profesor Akademii Sztuki w Szczecinie.

W dniach 22-25 października 2015 roku odbył się w Austin dziesiąty, jubileuszowy Festiwal Polskich Filmów. Polskie kino na tyle weszło na stałe do repertuaru wydarzeń kulturalnych w stolicy Teksasu, że burmistrz miasta ogłosił październik polskim miesiącem, a artyści, którzy przyjeżdżają na festiwal z Polski otrzymują honorowe obywatelstwo City of Austin. W tym roku przyjechał po raz kolejny reżyser i prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Jacek Bromski. Jak sobie żartował podczas spotkania, zaszczytne honorowe obywatelstwo nie uratowało go jednak przed karą za przekroczenie prędkości.

Reżyser przyjechał ze swoim najnowszym filmem „Anatomia zła”. Gośćmi festiwalu byli również dwaj muzycy z Austin, którzy brali udział w powstawaniu filmu – Ludek Drizhal i Spencer Gibb, obaj poznani przez Jacka Bromskiego podczas poprzednich festiwali w Teksasie. Ludek Drizhal, kompozytor, dyrygent i producent muzyczny, urodzony w Pradze, jest autorem ścieżki dźwiękowej do tego filmu. To już czwarty jego projekt filmowy z Jackiem Bromskim. Po projekcji Ludek Drizhal opowiadał, jak dobiera się dźwięk do materiału zdjęciowego, ile podejmuje się prób, żeby właściwie oddać klimat akcji filmowej i jak duża różnica jest we współpracy z polskim reżyserem w porównaniu ze współpracą z

reżyserami amerykańskimi. Amerykańskie kino jest bardziej oparte na schematach, w polskim kinie kompozytor ma więcej wolności w kreowaniu obrazu.

Spencer Gibb, brytyjski muzyk, piosenkarz, aktor, autor tekstów i właściciel studia nagrań w Austin, zagrał w filmie epizod. Po projekcji opowiadał o pracy na planie i współpracy z polskim reżyserem.



Od lewej: Zbigniew Banaś, Jacek Bromski, Ludek Drizhal i Spencer Gibb

Filmy fabularne

„Anatomia zła”

Fikcyjna fabuła thrillera luźno nawiązuje do trzech autentycznych wydarzeń – przypadkowe zastrzelenie cywili w Nangar Chel w Afganistanie przez żołnierzy polskiego kontyngentu, zabójstwo gen. Marka Papały, Komendanta Głównego Policji i zaginięcie dziennikarza śledczego Jarosława Ziętary. W Afganistanie poznajemy zdegradowanego sierżanta Waskę (Marcin Kowalczyk), w Polsce – Lulka (Krzysztof Stroiński), byłego płatnego zabójcę, warunkowo wychodzącego z więzienia. Prokurator, który go posadził, daje mu propozycję nie do odrzucenia – Lulek dostaje zlecenie zabójstwa wysoko postawionego funkcjonariusza państwowego i albo zlecenie wykona, albo wraca za kratki. Patrząc na miłego, ciepłego, dobrodusznego emeryta, nie można nie czuć do niego sympatii. Krzysztof Stroiński stworzył postać bogatą pod względem psychologicznym, uwarunkowaną przeszłością, zdeterminowaną teraźniejszością, o dwoistej naturze. Czy niegroźny, miły staruszek to maska, która skrywa bezwzględnego zabójcę, czy też odwrotnie, cynizm jest maską, a konieczność wykonania zadania jest ceną za spokojne życie. Lulek nie jest już tak sprawny, jak kiedyś, niedowidzi, ręce mu się trzęsą, obawia się, że zlecenie może być dla niego za trudne. Dlatego rekrutuje zdegradowanego sierżanta Waskę, który po powrocie do Polski pracuje w myjni samochodowej. Obietnica powrotu do wojska i odzyskanie dawnego statusu jest kusząca. Dlatego Wasko decyduje się na współpracę z Lulkiem. Relacja Lulek-Wasko jest pod względem psychologicznym wielopłaszczyznowa. Lulek

manipuluje swoim współpracownikiem, a jednocześnie jest jego mentorem, spełnia rolę ojca, nauczyciela, przyjaciela. „Wysoko postawiona osoba”, na którą zostało wydane zlecenie spotyka się regularnie ze śpiewaczką operową w jej apartamencie. Dlatego zostaje wynajęty pokój hotelowy na przeciwko budynku, w którym dochodzi do schadzki. Młody snajper bezbłędnie wykonuje zadanie, a ucieczka zabójców z miejsca zdarzenia jest perfekcyjnie zaplanowana. Akcja filmu trzyma w napięciu i spełnia wszelkie kryteria dobrego thrillera. Dlatego dziwi zakończenie. Trudno uwierzyć w motywacje sierżanta Waśki. Jeśli zakończenie w zamierzeniu reżysera, miało przypominać, że każda zbrodnia musi być ukarana, to byłoby zbyt oczywiste.

Anatomia zła/Anatomy of Evil

Scenariusz i reżysreria: Jacek Bromski

Zdjęcia: Michał Englert

Muzyka: Ludek Drizhal

Produkcja: Jacek Bromski Produkcja Filmowa

Premiera: wrzesień 2015

Obsada: Krzysztof Stroiński, Marcin Kowalczyk, Piotr Głowacki,

Michalina Olszańska i inni.

„Jack Strong”

Kolejny thriller pokazywany podczas Festiwalu w Austin oparty jest na losach pułkownika Ryszarda Kuklińskiego, jednego z największych szpiegów drugiej poł. XX w., który jako oficer Ludowego Wojska Polskiego zdecydował się na współpracę z CIA. W filmie poznajemy płk. Kuklińskiego podczas przesłuchania. Nie wiadomo kto i dlaczego go przesłuchuje. Ma się wrażenie, że po latach zostaje przesłuchiwany w Polsce i z polskiego punku widzenia jest rozważany problem zdrady. Jednak pułkownik Kukliński po wyjeździe z Polski nigdy już do niej nie powrócił, jego historia jest opowieścią dla rządu amerykańskiego.

Bohater czy zdrajca? Postać jest tak zbudowana, że nie mamy co do tego wątpliwości, zostanie szpiegiem z powodu wyższej konieczności było nie lada bohaterstwem. Stopniowo poznajemy sytuację, którą znał pułkownik. Rozczarowanie planami Układu Warszawskiego, inwazja na Czechosłowację w 1968 roku, masakra protestujących robotników na wybrzeżu w 1970 roku i realne zagrożenie konfliktem jądrowym, którego ofiarą może paść Polska, skłoniły oficera do skontaktowania się z wywiadem

amerykańskim. Odpowiedzialny za dostarczanie dokumentów dotyczących tajnych planów Moskwy, pułkownik Kukliński stał się kluczową postacią, która doprowadziła do rozpadu Związku Radzieckiego i zmiany sytuacji politycznej w Polsce. Oprócz jednej sceny, jak z Hollywood – pościgu samochodowego i podmianie uciekających, akcja filmu rozgrywa się głównie w zamkniętych pomieszczeniach, co potęguje dramatyzm sytuacji. Film spełnia wszelkie wymogi thrillera szpiegowskiego i trzyma w napięciu, akcja się toczy szybko, zarysowany jest aspekt psychologiczny, sytuacja rodzinna bohatera. Pokazana jest też historia z okresu zimnej wojny, zależność Polski od Związku Radzieckiego i różne postawy wśród oficerów Wojska Polskiego.

Film cieszył się dużym zainteresowaniem amerykańskiego odbiorcy. Po projekcji odbyła się ciekawa rozmowa. Chale Nafus, były wykładowce w departamencie Radia, Filmu i Telewizji rozmawiał z Elliottem Nowacky'm, obecnie koordynatorem programu międzynarodowego w departamencie slawistyki na Uniwersytecie w Austin. Elliot Nowacky przez dwadzieścia lat był oficerem w armii amerykańskiej i specjalistą od Związku Radzieckiego. W jego odczuciu, to właśnie pułkownik Kukliński w dużym stopniu przyczynił się do zmiany sytuacji geopolitycznej w Europie wschodniej i być może uratował swoją ojczyznę od klęski jądrowej, płacąc za to bardzo wysoką cenę – utratę obydwóch synów. Ciekawe pytania i komentarze z widowni świadczyły o tym, że przygotowywano się do odbioru tego filmu.

Jack Strong

Scenariusz i reżyseria: Władysław Pasikowski

Zdjęcia: Magdalena Górka

Muzyka: Jan Duszyński

Produkcja: Scorpio Studio

Premiera: luty 2014

Obsada: Marcin Dorociński, Maja Ostaszewska i inni.

„Miasto 44”

Na filmie o Powstaniu Warszawskim widownia była zapełniona. Przed projekcją wprowadzenie dotyczące historii Polski z okresu II wojny światowej przedstawiła dr Tatiana Lichtenstein z wydziału historii na Uniwersytecie w Austin.

Dla Polaków obecnych na projekcji, znających historię, film był trudny w odbiorze. Wiele osób mówiło, że miało ochotę wyjść lub żałowało, że widziało ten film, ze względu na brutalność scen

wojennych i odmitologizowanie znanej nam z przekazów rodziców czy dziadków historii. Wybuch samochodu-pułapki i lecące na ludzi rozczłonkowane ciała oraz bryzgająca krew, może nawet w najbardziej opatrzonych w brutalnych scenach widzach wywołać dreszcze. Amerykanom, brutalność rzeczywistości powstańczej mogła silnie podziałać na wyobraźnię i uzmysłowić trudne wybory, jakie podejmowali Powstańcy.

Struktura filmu Jana Komasy oparta jest na powstańczych, węzłowych wydarzeniach – „cisza przed burzą", potyczki na cmentarzu zgrupowania „Radosław", odbicie więźniów żydowskich, walki na Starówce i Czerniakowie, przejście kanałami, bombardowanie szpitali, masakra oddziału generała Berlinga, plan ewakuacji pontonami na Pragę, eksterminacja ludności cywilnej. Dziwić może jedynie obraz kanałów z ruchomymi i wilgotnymi ścianami, miażdżącymi ludzi jak w filmie grozy, w kontraście z dzielnicą Warszawy pełnej życia, uśmiechniętych przechodniów, patrzących ze zdziwieniem na wycieńczonych i brudnych Powstańców. Na tło historyczne nakłada się wątek uczuciowy. Scena pocałunku w zwolnionym tempie z karabinowym ostrzałem w tle, czy scena erotyczna rozegrana w rytmie współczesnej elektronicznej muzyki „Skrillexa", sprawiają, że film ma coś z komiksu z trudną do uchwycenia granicą między historyczną realnością a przestrzenią rodem z gier komputerowych. Może młode pokolenie, do którego należy reżyser, tak patrzy na historię.

Obrazowi pokazanemu w filmie sprzeciwiają się uczestnicy Powstania, których poproszono o konsultację. – *My oczekiwaliśmy, że to będzie film, który w pewnym sensie odda i nastrój tamtych chwil i nas samych. Pokaże nas zgodnych, przyjaznych sobie, mających przed sobą pewien cel. A doznałem zawodu* – mówi Edmund Baranowski w artykule Michała Fala (www.natemat.pl). Wśród byłych Powstańców największe wątpliwości wzbudzają sceny seksu, sposób jaki w filmie traktowani są jeńcy oraz wulgaryzmy. Powstańcy mają żal do twórców filmu, że kilkakrotnie poprawiana wersja scenariusza, nie uwzględniła ich uwag.

W filmie zmieszana jest historia, pop, kicz i okrucieństwo. Może to jest właściwy język przemawiający do młodego pokolenia, dzięki któremu młodzi uzmysłowią sobie, że o pokój trzeba było walczyć i nie jest każdemu z góry dany.

Miasto 44

Scenariusz i reżyseria: Jan Komasa

Zdjęcia: Marian Prokop

Muzyka: Antoni Komasa-Łazarkiewicz

Produkcja: Akson Studio

Premiera: 2014

Obsada: Józef Pawłowski, Zofia Wichlacz, Anna Próchniak i inni

„Bogowie”

Film jest opowieścią o wybitnym polskim kardiochirurgu prof. Zbigniewie Relidze, o czasach, w których przyszło mu tworzyć słynną Klinikę Kardiochirurgii w Zabrzu i determinacji, z jaką walczył o każde ludzkie życie. Profesor jest niewątpliwe wybitną osobowością, która zaraża energią swoich współpracowników. Religa pokazany w filmie to przede wszystkim lekarz w służbie pacjenta, nie dbający o zaszczyty, czy pierwszeństwo w dokonywaniu zabiegów, które mogłoby mu przynieść światową sławę. Lekarz, który wybrał pionierską pracę w Polsce, ze wszystkimi ograniczeniami systemu komunistycznego, zamiast skorzystać z propozycji pozostania w Ameryce po odbyciu podyplomowych staży. Pokazane są etapy, które przechodził operacje udane i nieudane, po których przychodził czas załamania. Zabiegi pokazywane były z bliska, widz uczestniczył w otwieraniu ludzkiego ciała, widział pracę organów wewnętrznych. Tak bardzo naturalistyczny obraz nie był

konieczny, choć przybliżał jakże trudną pracę zespołu lekarzy. Autorzy filmu starali się wiernie oddać postać prof. Religi. Nie da się jednak pokazać całego ludzkiego życia w ciągu dwóch godzin, dlatego siłą rzeczy trzeba dokonywać skrótów. Zaledwie zarysowany został wątek rodzinny, żona, która w filmie przegrywa z pracą swojego męża. Nie zostały wspomniane dzieci – syn kardiolog i córka – sinolog. Nie pokazano wyjazdów na wakacje z rodziną, pasji profesora – wędkarstwa itd. Skupiono się na pracy, tworzeniu Kliniki i przeszczepach serca. Pokazany też został prof. Jan Moll z Łodzi, który jako pierwszy w Polsce dokonał (nieudanego) przeszczepu serca w 1969 r.

Dlatego do rozmowy po filmie zaproszona została dr Teresa Łysoń z Austin, absolwentka Akademii Medycznej w Łodzi, która po studiach pracowała w Klinice Kardiochirurgii razem z prof. Janem Mollem. Przybliżyła amerykańskim widzom sytuacje lekarzy w Polsce w czasach komunizmu. Przeczytała też list od kolegi, dr Ryszarda Łupińskiego, który pracował z prof. Religą:

„W tym filmie pokazano go w 95% takim jakim był. Zacząłem pracę u Religi trzy miesiące po pierwszym przeszczepie. (…) Mogę powiedzieć tylko dobre rzeczy o nim. Był to mój najlepszy szef jeśli chodzi o profesjonalizm, osobowość, jako lekarz i osoba prywatna (…). Mieszkałem z nim jakiś czas w tym samym hotelu pielęgniarskim w Zabrzu co ON. W filmie jest scena, jak tam właśnie nieprawdopodobnie się upił po śmierci pacjenta i

przewracał lampy w pokoju.

Nigdy nie mógł zgodzić się ze śmiercią (...). Brał każdego pacjenta, który dla innych klinik nie nadawał się do leczenia (...). Uważał, że każdy musi dostać szansę, nawet jeśli szanse są nikłe. Stąd sztuczne serce i przeszczepy. Kiedyś, jak pracowałem w Singapurze, okazało się, że też go tam znali jako kardiochirurga, który wykonał ostatni u człowieka przeczep xenogenny. Zrobił to na Ochojcu. Pamiętam ten dzień. Wszyscy chodzili ‚na palcach', żeby 'tatusiowi' (tak zwaliśmy go między sobą) nie przeszkadzać i być w gotowości, żeby mu pomóc (...). To był ewenement w medycynie – lekarz najlepszy jakiego znałem na naszym terenie i nie tylko". (dr Ryszard Łupiński).

Bogowie/The Gods

Scenariusz: Krzysztof Rak

Reżyseria: Łukasz Pałkowski

Zdjęcia: Piotr Sobociński, Jr.

Muzyka: Bartosz Chajdecki

Produkcja: Krzysztof Rak, Piotr Woźniak Starak

Premiera: 2014

Obsada: Tomasz Kot, Magdalena Czerwińska, Piotr Głowacki, Kinga Preiss, Marian Opania i inni



Od lewej: Joanna Sokołowska-Gwizdka i dr Teresa Łysoń

“Zbliżenia”

To kolejny po “Pręgach” i “Senności” dramat psychologiczny Magdaleny Piekorz. Tym razem reżyserka pokazuje bardzo trudne relacje pomiędzy matką i córką. Kobiety kochają się i nienawidzą, są na siebie skazane i chcą od siebie uciec. Wchodzimy w świat Marty, zdominowanej przez zaborczą matkę, podejmującej co jakiś czas próby uwolnienia się z więzów matczynej miłości, po czym wracającej do dawnego układu. Nawet zamążpójście nie zmienia sytuacji, niewola emocjonalna trwa nadal. Marta, mimo, że już nie mieszka z matką, nie rozstaje się z telefonem, który bez przerwy daje o sobie znać – „Martusiu, odbierz, tu mama”. Mąż patrząc na sytuację z boku próbuje pomóc w rozwikłaniu pętli, która dusi ich oboje, ale Marta jest za słaba, aby odciąć więź z matką. Powoli zarysowuje się tło wydarzeń, sprawa ojca Marty i błędy matki w budowaniu własnego związku. Odkrycie Marty na temat ojca i spotkanie się z nim też niczego nie zmienia. Każda decyzja Marty jest poddawana analizie i komentowana. Informacja o planowanej ciąży wprowadza matkę w panikę i z całych sił próbuje córce odradzić tę decyzję. Marta sunie po równi pochyłej, a jej małżeństwo wisi na włosku. Matka jednak (świetna rola Ewy Wiśniewskiej) nie umie żyć bez szantażu emocjonalnego i nic do

niej nie dociera. Problem nigdy się nie rozwiąże. Wprawdzie Marta godzi się z mężem, zachodzi w ciąże, ale matka…. jakby na złość, odbiera sobie życie. Tragedia ta spowoduje, że poczucie winy nigdy Marcie nie da spokoju.

Zbliżenia/Close-Ups

Scenariusz: Magdalena Piekorz, Wojciech Kurczok

Reżyseria: Magdalena Piekorz

Zdjęcia: Marcin Koszałka

Muzyka: Adrian Konarski

Produkcja: Studio Tor

Premiera: 2014

Obsada: Ewa Wiśniewska, Joanna Orleańska, Łukasz Simlat i inni

„Obietnica”

Ten dramat psychologiczny o młodzieży wpisuje się w nurt dotychczasowych zainteresowań „reżyserki młodych”, jak nazywana jest Anna Kazejak. Absolwentka łódzkiej „Filmówki” w 2006 roku zrealizowała wraz z Janem Komasą i Maciejem Migasem „Odę do radości”, składającą się z trzech 30-to minutowych etiud. Film zainspirowany był dyskusją na łamach „Gazety Wyborczej” o pokoleniu „Nic”, czyli o młodzieży pozbawionej w Polsce perspektyw i wyjeżdżającej za granicę. Kolejny film Anny Kazejak „Skrzydlate świnie” z Olgą Bołądź i Pawłem Małaszyńskim, również opowiada o młodych ludziach, których połączyła wspólna pasja do futbolu.

„Obietnica” demaskuje świat dorosłych, którzy nie zdają sobie sprawy, jak bardzo ich życiowe komplikacje i zmiana tradycyjnego modelu rodziny, ma wpływ na młode pokolenie. Film oparty jest na autentycznej historii. Licealistka, z rozbitej rodziny, (ojciec założył nową rodzinę w Danii, mama ma młodego kochanka), ma takie poczucie odrzucenia, że nie potrafi wybaczyć swojemu chłopakowi, pocałunku z inną dziewczyną. Lila czuje, jakby cały świat ją opuścił, nikt jej nie chce i nie potrzebuje. Chłopak żałuje, tego co zrobił, ale Lila pragnie zemsty. Janek ma zabić dziewczynę, z którą się całował. Absurdalna propozycja, początkowo odrzucana przez Janka, staje się jednak faktem. Zbrodnia i emecjonalne spustoszenie, które do

niej doprowadziło, na zawsze zmieni życie dwojga młodych ludzi.

Anna Kazejak była gościem tegorocznego Festiwalu Polskich Filmów w Austin. Oto krótka rozmowa z reżyserką.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę podzielić się wrażeniami z festiwalu w Teksasie. Jak Pani odbierała kontakt z publicznością?

Anna Kazejak: Bardzo lubię przyjeżdżać na polonijne festiwale, gdyż na nich można poczuć autentyczne zaangażowanie organizatorów oraz oczekiwanie publiczności na polskie filmy. Stąd z Austin wiążę same ciepłe wspomnienia – począwszy od gościnności osób, u których mieszkałam, kończąc na wieńczącej mój pobyt w mieście rozmowie z publicznością. Widzowie odebrali film niezwykle ciepło i dali temu wyraz w rozmowie po filmie. Jeszcze po powrocie do Polski otrzymywałam wiadomości od ludzi uczestniczących w projekcji, którzy dzielili się swoimi odczuciami po obejrzeniu „Obietnicy”. I byli to, co ciekawe, głównie Amerykanie. To największa nagroda dla filmowca, jeśli spotka się z tak żywą i życzliwą reakcją na swoją pracę.

JSG: Miała Pani warsztaty na Uniwersytecie, jak Pani je ocenia?

AK: Nie ukrywam, że nieco tremowała mnie myśl o wykładzie. Głównie ze względów językowych. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Wywiązała się ciekawa dyskusja, podczas której próbowałam podzielić się moimi reżyserskimi doświadczeniami, opowiedzieć o swoich zawodowych błędach, dylematach i strategii na przyszłość. Chciałam też nieco przybliżyć europejski system finansowania kinematografii. Nie wiem na ile rzeczy, o których była mowa przydadzą się studentom, ale ich entuzjazm udzielił się i mnie, więc korzyść była obopólna.

JSG: Należy pani do młodego pokolenia reżyserów. Czy stąd zainteresowanie problemami młodych ludzi?

AK: Chyba powoli przechodzę do grupy średniego pokolenia. Ale nie tylko metryka decyduje o spektrum naszych zainteresowań tematycznych. W moim przypadku tematy, pomysły na pierwsze trzy filmy pojawiły się w szkole filmowej. „Obietnica" zamyka ten okres. Teraz czas na podróż w nieznane.

JSG: W jednym z wywiadów powiedziała Pani, ze następny film będzie dotyczył problemów dorosłych. Ma Pani już jakiś pomysł na kolejny film?

AK: Pracuję obecnie nad nowym filmem, który będzie nosił tytuł „Strach”. Rzecz dzieje się w Bieszczadach i opowiada o spotkaniu kobiety, warszawskiej eskapistki, z ukraińskim emigrantem. Nawiązuje się między nimi dziwna, niejednoznaczna relacja, oparta na strachu i fascynacji jednocześnie. Liczę na to, że choć w niewielkim stopniu uda się uchwyć w filmie europejskie nastroje związane z konfliktem na wschodzie Europy oraz napływającymi do nas emigrantami.

JSG: Czy na tyle interesuje Panią dramat psychologiczny, że będzie nadal Pani zajmować się tym gatunkiem?

AK: Dramat psychologiczny jest mi bardzo bliski, ale dość niszowy. Staram się go zatem łączyć z innymi, tak by film mógł trafić do szerszej widowni. Teraz korzystam z elementów thrillera i mam nadzieję, że ta forma spodoba się publiczności nie tylko festiwalowej, ale i tej kinowej.



Zbigniew Banaś i Anna Kazejak po projekcji filmu „Obietnica”.

Obietnica/The Word

Scenariusz: Anna Kazejak, Magnus von Horn

Reżyseria: Anna Kazejak-Dawid

Zdjęcia: Klaudiusz Dwulit

Muzyka: Kristian Eidnes Andersen

Produkcja: Opus Film

Premiera: 2014

Obsada: Eliza Rycembel, Mateusz Wiecławek, Magdalena Popławska, Andrzej Chyra i inni

Filmy dokumentalne

„Jurek”

Film młodego reżysera, Pawła Wysoczańskiego „Jurek” o himalaiście Jerzym Kukuczce, zrobił na widowni duże wrażenie. Widać było zaangażowanie młodego twórcy i jego ogromną pracę jako archiwisty. Paweł Wysoczański, rocznik 1980, opowiadał po projekcji, że jako kilkuletni chłopiec oglądał programy o Kukuczce w telewizji, kiedy ten zdobywał największe szczyty. Był on dla niego wtedy wielkim bohaterem, człowiekiem niezniszczalnym, któremu nigdy nic nie może się stać, odpowiednikiem Supermana. W wywiadzie udzielonym Annie Czupryn (www.polskatimes.pl) reżyser podzielił się obserwacją – *Vladimir Nabokov pięknie pisze w „Lolicie”, że to, co zdarzy się*

w życiu chłopca, może naznaczyć go na całe życie. Ten podziw z dziecięcych lat znalazł swoje odbicie w filmie dorosłego reżysera.

W dokumencie pojawia się wiele rozmów z samym Jerzym Kukuczką, a także z jego rodziną i przyjaciółmi. Są też rozmowy z innymi himalaistami, m.in. z Reinholdem Messnerem, który jako pierwszy zdobył Koronę Himalajów, czyli czternaście ośmiotysięczników. Kukuczka osiągnął ten sukces jako drugi, ale za to w czasie o połowę krótszym. Messner napisał mu wtedy: ”Ty nie jesteś drugi. Ty jesteś wielki”.

W filmie pokazane jest śląskie środowisko, z którego się wywodził bohater i które ukształtowało determinację w zdobywaniu celu. Widzimy, jak wyglądało przygotowanie wyprawy w czasie, kiedy w sklepach nic nie było, kolejki, zdobywanie prowiantu. Są marzenia, tworzenie rzeczy wielkich i cena, jaką się za nie płaci. Podczas projekcji nasuwały się skojarzenia i pytania: czy takie wyprawy to nie jest egoizm, jeśli ma się rodzinę, czy wyprawy w góry to wyższa wartość, czy dzięki wyprawom można bardziej poznać siebie i wejść w głąb swoich możliwości itd. …. po czym w filmie pojawiała się na nie odpowiedz. Rodzina była niezwykle ważna w życiu himalaistów, bo wiedzieli, że mają dokąd wracać. Rodzina była motywacją, żeby przeżyć.

Piękny motyw filmu, to patriotyzm bohaterów. Zdobywanie szczytów, wbijanie w śnieg polskiej flagi, to było też dla Polski, aby pokazać światu, że nas Polaków na wiele stać.

Film, zrobiony z pasją na pewno pobudził widzów do myślenia, a przykład Kukuczki dał nadzieję, że jeśli ma się marzenia wszystko jest możliwe.

Paweł Wysoczański, gość tegorocznego Festiwalu.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę podzielić się wrażeniami z festiwalu w Teksasie. Jak Pan odbierał kontakt z publicznością?

Paweł Wysoczański: Jestem pod wrażeniem ekipy organizatorów Polish Film Festival w Austin. To idealiści wierzący w to co robią. Szanujący filmy i ich twórców. Dla mnie festiwal filmowy w Austin był okazją do pokazania filmu Jurek publiczności w Teksasie, ale również możliwością zobaczenia samego Teksasu. Doświadczenia Austin. Nowe miejsca, nowi ludzie to część mojego zawodu. Doświadczenie Austin i poznani tam ludzie oceniam jako wyjątkowe. Kończę powoli pokazy filmu „Jurek" w USA. Mój film był pokazywany w ośmiu miastach USA i Kanady, ale doświadczenie Austin traktuję jako najcenniejsze.

JSG: Miał Pan spotkania ze studentami, jak Pan je ocenia.

PW: Mogę wyrazić swoje zadowolenie z pobytu w Austin i spotkania ze studentami. Zwłaszcza rozmowa ze studentami w San Marcos była dla mnie cennym przeżyciem. Ci młodzi ludzie byli szczerze zainteresowani tematem polskiego kina dokumentalnego. Zadawali dużo pytań. Po godzinie spotkanie przypominało rozmowę, a nie wykład. Twórczą rozmowę. Myślę, że to spotkanie było dla obu stron – dla mnie, ale i dla studentów nie tylko wymianą informacji, ale i przeżyciem. Doświadczeniem nieznanych światów.

Jurek, 2015, scenariusz i reżyseria: Paweł Wysoczański, zdjęcia: Jacek Kędzierski, muzyka: Michał Lorenc.



Zbigniew Banaś i Paweł Wysoczański po projekcji filmu „Jurek”.

„Joanna”

Film Anety Kopacz o blogerce, Joannie Sałydze, która choruje na raka, poraża swoją naturalnością i zwyczajnością codziennego życia rodziny. Joanna stara się jak najwięcej przekazać swojemu synkowi, nauczyć go życia, pokazać co jest ważne, a co nie, chce, żeby ją zapamiętał. Widz wie, co się niebawem wydarzy i zwykłe rozmowy dostają innego wymiaru. W filmie obecny jest mąż, ale niczego nie świadomy synek, zadający mnóstwo pytań, jak każde

dziecko w tym wieku, przykuwa uwagę. Jest to film realności, rejestrujący uciekające życie, film z kluczowym pytaniem, co po mnie pozostanie. Aneta Kopacz jest psychologiem i absolwentka szkoły Andrzeja Wajdy. Film świetnie łączy warsztat reżysera z umiejętnością obserwacji psychologa.

Joanna, 2013, scenariusz: Aneta Kopacz, Tomasz Sredniawa, reżyseria: Aneta Kopacz, zdjęcia: Łukasz Zal, muzyka: Jan A.P. Kaczmarek.

„Gry"

Jest to uwspółcześniona adaptacja opowiadania Ireneusza Iredyńskiego „Winda", z Julią Kijowską i Marcinem Bosakiem w reżyserii Macieja Marczewskiego. Dwoje ludzi zostaje zamkniętych w windzie. Zaczynają grę, polegającą na układaniu scenariusza dla własnego życia. Udają kogoś, czy opowiadają swoje życie? Są obcymi ludźmi, czy byli kiedyś małżeństwem? Spotykają się przypadkowo, czy jadą razem? Początkowo widz jest przekonany, że bohaterowie widzą się po raz pierwszy, ale potem stopniowo okazuje się, że są głęboko poranieni, prawdopodobnie przez siebie i zawikłani w sieć pragnień i bólu. Czy uda im się na nowo odbudować relację, udając, że są przypadkowo poznaną parą? Błyskotliwy tekst Ireneusza

Iredyńskiego, bardzo dobra gra aktorów i reżyseria Macieja Marczewskiego sprawiają, że ten 30-to minutowy film pozostaje w pamięci.

Gry, 2013, scenariusz i reżyseria: Maciej Marczewski, zdjęcia: Radosław Ładczuk, muzyka: Łukasz Czeakła, występują: Jylia Kijowska i Marcin Bosak.

Wsrod filmów dokumentalnych na Festiwalu w Austin pokazywane był również filmy: „Obiekt" (2015) Pauliny Skibińskiej, o zimowej akcji ratunkowej nad wodą i pod wodą, „Ludzie na moście" (2014), Beaty Poźniak, oparty o poezję Wisławy Szymborskiej oraz „Las cieni" (2014) Andrzeja Cichockiego, o grupie Żydów uciekającej przez las przed Niemcami podczas II wojny światowej i żydowskim chłopcu, którego ratuje kłusownik.

Filmy animowane

„Hipopotamy"

Film Piotra Dumały wywołał lawinę pytań. Dla jednych był niezrozumiały, inni próbowali go interpretować, jeszcze inni mieli własne odczucia i ocenę. Ten krótki, tonący w odcieniach szarosci film, na pewno prowokował do myślenia.

Grupa nagich kobiet z dziećmi kąpie się w rzece. Z ukrycia obserwuje ich pięciu nagich mężczyzn. Po chwili zbliżają się do kobiet, a jeden z nich podejmuje próbę seksualnego zbliżenia. Odrzucenie sprawia, że reaguje przemocą. Tak zaczyna się brutalny spektakl walki i gwałtu, opowiadający o zderzeniu płci i przemocy jako jednym z fundamentów cywilizacji. Film inspirowany był zachowaniem hipopotamów, ale pokazuje, że człowiek jest również częścią przyrody i rządzą nim podobne mechanizmy. Męska seksualność jest motorem zmian, jeśli nie zostanie zaspokojona, wyzwala agresję, powoduje wojny. Odmienność między płciami polega na tym, że kobieta pragnie dziecka, a mężczyzna pragnie kobiety. Na filmie kobiety, którym mężczyźni zabili dzieci, podejmują z nimi relacje. Tylko jedna z kobiet zostaje z boku. Ponieważ kobiety zostały pozbawione dzieci, bez względu na wszystko dalej chcą mieć dzieci. To jedna z interpretacji. Inna interpretacja jest taka, że film opowiada o kolaboracji z wrogiem, jeśli jesteśmy podporządkowani silniejszemu, łatwiej jest z nim współpracować, niż się opierać. Tylko nieliczni się przeciwstawiają.

Film, mimo, że okrutny, jest wielopłaszczyznowy i wywołał dyskusję.

Hipopotamy, 2014, scenariusz i reżyseria: Piotr Dumała, zdjęcia: Anna Waszczuk, muzyka: Alexander Balanescu.

Z innych filmów animowanych pokazany był film „Signum” (2015) Witolda Gieresza z muzyką Krzesimira Dębskiego, na którym jaskiniowe rysunki praprzodków ożywają i opowiadają historię pierwotnego człowieka oraz „Laska” (2008) Michała Sochy, opowadający o przygotowaniach do randki.

***

Ten bogaty program współczesnego polskiego kina, wywoływał nie kończące się dyskusje jeszcze długo po zakończeniu festiwalu. W tym roku mottem festiwalu były „historie filmowe oparte na faktach”, nie było więc filmów artystycznych. Pokazywane były thrillery, kryminał, filmy psychologiczne, film biograficzny, film historyczny, dokumenty. Widz mógł zapoznać się z wieloma aspektami polskiej historii i kultury, a wstępy prowadzone przez profesjonalistów uzupełniały wiedzę. Jedynie film „Ludzie na moście” Beaty Poźniak był pełnym poezji zarówno w słowie jak i w obrazie filmem artystycznym.

Festiwalowi towarzyszyła niezwykła wystawa Polskiej Szkoły Plakatu, z kolekcji Michała Poniża z Warszawy. Uczestnicy Festiwalu mogli zobaczyć dziesiątki wspaniałych dzieł sztuki plakatowej, autorstwa najwybitniejszych polskich artystów od czasów wojny aż do współczesności.

Po raz pierwszy w tym roku w ramach festiwalu odbył się

konkurs dla młodych twórców. Do finału weszło siedem filmów. Wygrał film „The Night Witch” Alison Klayman.



Od lewej: Angelika Firlej – prezes Austin Polish Society i Joanna Gutt-Lehr – przewodnicząca Komitetu Filmowego, fot. Marek

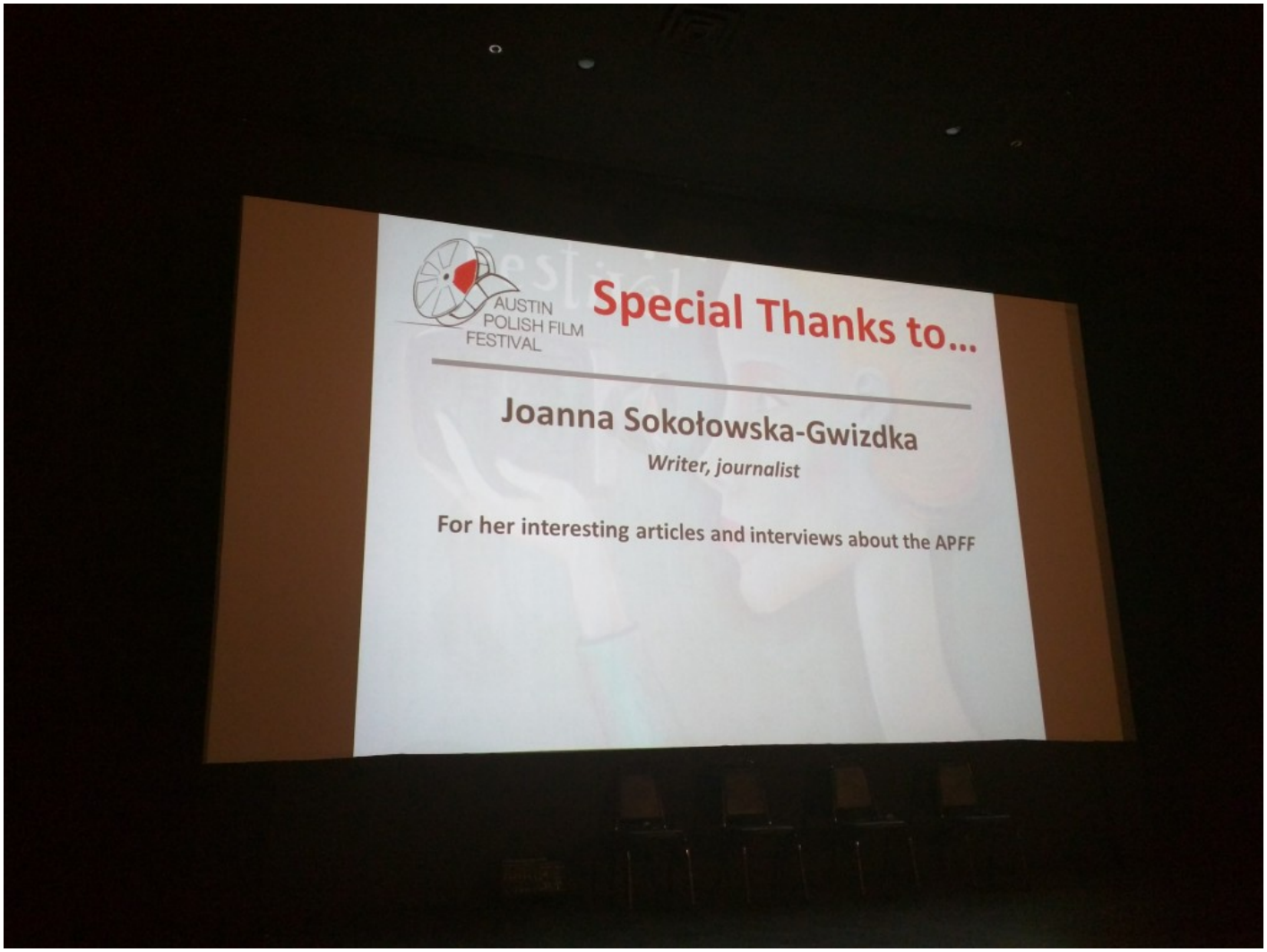
Proga.

Organizatorzy: Joanna Gutt-Lehr, Angelika Firlej, Magda Szatanik-Boudni, Karolina Camara i Joanna Gonczar, włożyli bardzo dużo wysiłku, żeby nie tylko sprowadzić filmy i zorganizować projekcję, ale też żeby zareklamować polski pokaz w amerykańskim środowisku. Festiwal prowadził Zbigniew Banaś, krytyk filmowy, wykładowca w Loyola Univeristy w Chicago.

Pokaz filmów uzupełniony był fantastycznymi daniami polskiej kuchni, przygotowanymi przez Apolonia Catering.

Autorzy zdjęć: Marek Proga, Aneta Hayne i Jacek Gwizdka.


AUSTIN
POLISH FILM
FESTIVAL
2015
© 2015 Jacek Gwizdka



Konieczne kłamstwa

(fragm.)



Montreal

Ewa Stachniak

Przełożył Zbigniew Stachniak

Część I: Montreal 1981

Piotr powiedziałby, że Anna zdradziła Polskę już wtedy.

Nie miałby na myśli tego, że zauroczyła się komfortem Kanady, przepastnymi supermarketami przepełnionymi jedzeniem, błyszczącymi światłami montrealskich biurowców, które z taką dokładnością opisywała mu w swoich listach. Nie chodziłoby mu nawet o to, z jaką łatwością zachwycała się nawet najdrobniejszymi błahostkami. Życzliwym uśmiechem mijanych na ulicy nieznajomych. Samochodami zatrzymującymi się na przejściach dla pieszych. Wypielęgnowanymi trawnikami nawilżanymi szemrzącymi kaskadami wody. Mężczyzną na ulicy Sherbrooke, który pochylił się by sprzątnąć po swoim psie.

Piotr powiedziałby Annie, że symptomy jej zdrady były o wiele bardziej wyraźne i daleko bardziej niepokojące. Powiedziałby, że pozwoliła, by strach zakradł się w jej serce. I miałby rację.

To, że Anna znalazła się w Montrealu było czystym przypadkiem. W Polsce uczyła literatury angielskiej na wrocławskiej anglistyce. Starała się o stypendium do Anglii, chciała studiować literaturę emigracyjną, ale jej podanie ugrzęzło w kolejce. Kanadyjskie stypendium było niespodziewanym darem losu.

—Będzie Pani musiała wyjechać pod koniec sierpnia—powiedziała sekretarka dziekana, która niespodziewanie zadzwoniła do Anny późnym wieczorem. —Oni

zaczynają rok akademicki we wrześniu.

Piotr obserwował Annę siedząc w fotelu, z uniesionymi brwiami. Rozłożyła ręce, w geście pełnym zaskoczenia.

—Ktoś coś pokręcił—usłyszała w słuchawce. —Dostaliśmy pilny telefon z Ambasady kanadyjskiej. Potrzebują kogoś z humanistyki. Na wczoraj. Chce Pani jechać?

—Chcę—powiedziała.

Sześć miesięcy w dobrej bibliotece było kuszące. —Jakiejkolwiek dobrej bibliotece—powiedziała do Piotra, który przyciągnął ją ku sobie. Czuła jego palce drążące tunele w jej gęstych włosach, pieszczące jej szyję, ramiona. Anna w milczeniu rozważała argumenty. Choć miała dwadzieścia osiem lat, nigdy w życiu nie była na Zachodzie. Nawet gdyby udało jej się zaoszczędzić tylko sto dolarów, to i tak byłoby to więcej niż jej całoroczna pensja. No i ta zwykła potrzeba odpoczynku, kilka miesięcy oderwania się od rzeczywistości kolejek, strajków, protestów. A poza tym to tylko pół roku, w lutym przecież będzie z powrotem we Wrocławiu. Zdąży na początek drugiego semestru.

Piotr szeptał jej imię. —Jedź—szeptał. –Jedź. Krawędź fotela uciskała jej biodro. Dotyk ust Piotra łaskotał, rozśmieszał. Będzie po prostu za nią tęsknił. To wszystko.

—A może pojedziesz ze mną—spytała, wiedząc dobrze, co odpowie. –Teraz? Kiedy wszystko miało się rozstrzygnąć? Gdy los Polski wisi na włosku.

[Strony: 31-33. Anna w Montrealu. Spotkanie z Williamem.]

U wejścia do holu Klubu uniwersyteckiego McGill, wyłożonego drewnianą boazerią, dostała naklejkę z napisem: Anna Nowicka, Polska. Gość Wydziału Anglistyki Uniwersytetu McGill. Uczucie niepewności wyparowało bez śladu. Zdziwiła ją łatwość, z jaką nawiązywano rozmowy. "Pomyślałem, że mógłbym do Pani podejść i przywitać się," wystarczyło w zupełności.

—Niestety, mój mąż nie mógł ze mną przyjechać—odpowiadała na częste zapytanie. Uzyskanie dwóch paszportów byłoby raczej trudne, a, co ważniejsze, Piotr nie mógł tak po prostu wyjechać. Wykładał prawo cywilne na uniwersytecie wrocławskim. Był doradcą prawnym lokalnego oddziału Solidarności. Oczywiście jej wyjazd bez niego nie był najlepszym rozwiązaniem, ale cóż innego pozostawało.

—Dziewczyna z Breslau! —To był głos Williama, głos pełen zachwytu. —Z jakiego miasta Pani przyjechała?—zapytał. —Z Wrocławia—odpowiedziała, przygotowana na konieczność wyjaśniania przesuniętych granic powojennej Europy, historię ziem utraconych i odzyskanych, historię, w której niemieckie

miasto stało się polskim. Ale William nie prosił o wyjaśnienia.

—Dziewczyna z Breslau—powtórzył. —Co za zbieg okoliczności!

—Z W r o c ł a w i a—zaprotestowałaby jej mama, każda sylaba jak rytmiczne uderzenie w bęben. W R O – C Ł A W. Tak by to właśnie powiedziała. WRO – CŁAW, jej twarz zastygła w grymasie nieufności.

William zmrużył oczy z zadowolenia. Uśmiechnął się. Miał na sobie czarny golf, na nim rozpiętą koszulę. Żółte i czerwone plamy kolorów splatały się na niej jak wirujące wstążki zręcznie manipulowane ręką żonglera. Patrząc na jego równo przyciętą brodę myślała o piórach jakiegoś rzadkiego, srebrnego ptaka. William przyniósł jej lampkę wina. Anna czuła jak kształt nóżki kieliszka odciska się na jej palcach.

Wiedziała, że mu się podoba, widziała to w jego niebieskich oczach, w jego uśmiechu, potęgującym się nienasyceniu widokiem jej loków, każdym ruchem jej głowy. Jak gdyby z każdym najprostszym gestem udawało jej się osiągnąć coś naprawdę niezwykłego. Coś wyjątkowego, czego nikt inny, nigdy przedtem, nie osiągnął.

—A więc Pan wie gdzie to jest—zapytała, odgarniając włosy spadające jej na twarz.

Dnie były nadal upalne. Anna miała na sobie luźną sukienkę, którą kupiła w hinduskim sklepie na ulicy St. Laurent. Czarna bawełna, z fioletowymi plamami w kształcie spadających liści.

—Dziwi to Panią?

—Tak.

—Urodziłem się tam—powiedział. —Oczywiście wtedy był to jeszcze Breslau. Tak więc, w rzeczywistości, pochodzimy z tego samego miasta.

Bawiła się koralikami, które wplotła tego dnia we włosy, obracając je w palcach i puszczając. Myślała o swojej starej fotografii: drobna dziewczęca postać, biała sukienka, aureola jasnych włosów.

Na tym starym, czarno-białym zdjęciu trzyma rękę mamy. Za nimi ruiny Wrocławia; zwały gruzu wysypujące się na ulicę. Stosy cegieł, niektóre nadal zespolone zaprawą, strzaskane płyty betonu i granitu. Morze ruin otaczające wysepki stojących jeszcze domów. Powykręcane sterczące pręty w betonowych blokach, w byłych fundamentach. Spękane mury domów z obnażoną trzcinową siatką, jak z zastygłymi żyłami pod martwą skórą. Wypatroszone domy z wypalonymi ścianami, z wyraźnymi bliznami po nie istniejących już balkonach. Odsłonięte wnętrza

byłych pokoi—salonów, sypialni, gabinetów—zdradzały teraz gusty byłych mieszkańców, mozaiki zieleni i błękitu, tapety lub malowane ściany. Ulice poryte wybuchami. Leje po bombach z koronami uwieńczonymi uliczną kostką i spękanymi, granitowymi płytami chodników. Ulice prowadzące do nie istniejących osiedli, gładkie stalowe szyny tramwajowe wiodące w ruiny zarośnięte trawą i chwastami.

—To jeszcze nic takiego—wspominali rodzice Anny. W 1945 roku, tuż po ich przyjeździe do Wrocławia, bali się przechodzić obok opuszczonych domów, obok ruin i popiołu. Miasto było puste, tak przeraźliwie puste, że widok dziecka idącego ulicą napełniał im oczy łzami. Wrocławskie dzieci, pierwsza, niepewna zapowiedź stabilizacji. Kiedy Anna się urodziła, zabytkowe kamieniczki wrocławskiego Rynku były już odbudowane, ich fasady pomalowane na biało, beżowo i jasno-żółto. Kiedy Anna była już na tyle duża, że rodzice mogli ją zabrać na dłuższe spacery wokół gotyckiego Ratusza z jaskrawo pomalowanym zegarem słonecznym lub na Ostrów Tumski wzdłuż katedry z majestatycznymi wieżami, można było niemal uwierzyć, że wojna przeszła gdzieś obok.

. . . .

[Anna zakochuje się w Williamie, z wzajemnością. Postanawia odejść od Piotra, zostać w Kanadzie i rozpocząć nowe życie.

Dzwoni do niego na początku grudnia, raniąc go boleśnie. W kilka dni po tej rozmowie, w Polsce wprowadzony jest stan wojenny. Piotr jest internowany. Mimo wahań Anna rozwodzi się z Piotrem i wychodzi za mąż za Williama.]

Część II: Montreal 1991

[Dziesięć lat później. William umiera nagle na zawał serca. Anna idzie do jego biura na montrealskim uniwersytecie McGill, by uporządkować pozostałe po mężu papiery.]

str. 96-104.

W teczce "Osobiste" Anna znajduje grubą, zaklejoną kopertę. Rozrywa ją. Z koperty wysypują się na biurko listy, kartki pocztowe i fotografie. Na tych fotografiach, robionych w krótkich odstępach czasu, wyraz twarzy Williama zmienia się od tego charakterystycznego dla niego zamyślenia do uśmiechu. Ubrany w czarny golf i brązową marynarkę z tweedu, którą Anna tak zawsze lubiła, pochyla się do przodu, jak gdyby starał się przekonać kogoś o czymś niezmiernie ważnym. Na ostatniej fotografii srebrny lok włosów opada mu na czoło, zatrzymana chwila, po której ten lok może jedynie odgarnąć.

Kartka z Baden-Baden—stara, słodka widokówka, wieńce z kwiatów. Z radośnie bijących dzwonów wylewają się nuty. Pismo

jest trudne do odczytania, litery wysokie i ściśnięte. Mija kilka chwil zanim Anna wyłowi sens w tych ostrych linijkach pisma, odróżni jedno słowo od drugiego. *L'absence est à l'amour ce qu'est au feu le vent, il éteant le petit il allume le grand*. Podpisane: Urszula.

Otwiera małą niebieską kopertę i wyciąga z niej złożoną kartkę papieru. Jej serce zamiera na moment by ruszyć gwałtownie, tłocząc pospiesznie krew do twarzy. Papier drży w jej rękach.

Kochanie. Tak pusto tu bez ciebie. Echo dzwoni w pokojach, odbija moje kroki, ale Twój głos dociera do mnie zewsząd. Udaję, że wyszedłeś na chwilę i że zaraz wrócisz, jak dobry mąż, który wyjechał w krótką podróż. Czuję się Twoją żoną w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Czegoż więcej nam potrzeba? Urszula

Kolejna kartka papieru, złożona we czworo szeleści, gdy ją otwiera. Bez daty.

Przyjechałam późno. Mieszkanie zimne i ciemne, bo przed wyjazdem obniżyłam termostat. Moja pruska oszczędność, skąpstwo mojej duszy. Wczołgałam się do łóżka myśląc o Tobie. Dziś nie chcę z nikim rozmawiać, bo zagłuszyłabym Twój głos. Urs.

Niech więc będzie Londyn. Zjemy kolację w Hotelu Durrants, a

potem przejdziemy się George Street i będziemy się całować. Musisz mnie zdobywać. Proszę o wstążkę i grzebień. I zabierz mnie do muzeum figur woskowych, gdzie będziemy śmiać się w nieruchome twarze. Będziemy się kochać i pić okropnie mocną herbatę (oczywiście najpierw wlewając mleko) i będziemy tak brytyjscy jak tylko Niemcy mogą tego pragnąć.

Anna siada, nogi nie są w stanie utrzymać ciężaru jej ciała. Wyczuwa czyjąś obecność, czyjś dotyk na ramieniu. Obraca głowę, ale widzi tylko puste półki, które przed chwilą opróżniła z książek. Nie ma na nich nic poza szarym kurzem. To nieprawda, próbuje przekonać samą siebie. To nie może być prawdą.

—Tylko na kilka dni—pamięta jego słowa. — Muszę być sam. Rozumiesz mnie, kochana? Stała w drzwiach i patrzyła jak pakował brązową skórzaną walizkę. Beżowe sztruksowe spodnie ułożone płasko na dnie, tuż obok starannie zrolowane skarpety. Szetlandzkie swetry złożone w równe kwadraty, puste rękawy wsunięte do środka. Patrzyła, jak zamykał małą saszetkę pachnącą sandałowym drzewem.

—"Bądźcie razem, ale nie zbyt blisko siebie, jak dwie kolumny podtrzymujące kopułę świątyni"—powiedział kiedyś. Sentencja z "Proroka", jeden z prezentów, jakim ją obdarzył, maksymy lat sześćdziesiątych. Nie odwiozła go. William nie znosił lotniskowych rozstań. Wolał pożegnać się w domu, a ona starała

się nie obejmować go zbyt długo, udając zniecierpliwienie, aby ukryć ból. Nie mogła sobie pozwolić na gniew. Na to, by wylał się z niej, wykipiał. —Dzięki Bogu nie jesteś taka jak Marilyn—powiedział jej kiedyś. Zapamiętała każde słowo, którym określał swoją byłą żonę. —Nie ma w Tobie nic z jej mściwości.

Już wtedy myślał o chwili, gdy do niej wróci, wsuwał rękę pod jej sweter, obejmował ją i przyciągał do siebie. —Zadzwonię—szeptał jej do ucha.

Dzwonił. Z Frankfurtu, Berlina, Monachium, jego głos pełen radości i troski o nią. —Tęsknisz za mną, kochana?—pytał. Odpowiadała ze śmiechem, radością. —Rozumiesz mnie, prawda? —Ufała, że rzeczywiście potrzebował kilku dni samotności. Czy naprawdę wierzył, że zaakceptowałaby zdradę? Nie, to niemożliwe. Nie William. To wszystko nie ma żadnego sensu. Nie ma prawa go podejrzewać.

Dziś skończyłam "Twarze kobiet". Wszystkie zdjęcia są czarno białe. Kolor zacierał tylko te śmiertelne transformacje, które chciałam uchwycić. Nie musisz się niepokoić, kochanie, moje obsesje nie są aż tak łatwe do rozszyfrowania. Nazistki są obecne jedynie duszą, w spojrzeniach pełnych poddania, fanatyzmu i samo-zniszczenia. Te twarze są wszędzie. Wystarczyło kilka wieczorów w berlińskich barach. Lothar nic nie powiedział, tylko objął mnie mocno. To była najlepsza recenzja, jaką dostałam. Po

wystawie, idę Ku-damem, wciąż patrząc na twarze. Hałaśliwe Disco wylewa się ze sklepów na ulicę. Młode dziewczyny noszą obcisłe bluzki i dżinsy, balansując na wysokich koturnach. Nastolatki mają donośne głosy i odważne spojrzenia. Ja, jak zwykle w takich momentach, jestem pusta i obolała. Zbyt łatwo zajmuję się głupstwami, poddaję się chwilom bez znaczenia.

Anna zdejmuje okulary i zamyka oczy. Powieki bolą i swędzą, jak gdyby posiekane tysiącem drobnych, niewidocznych spękań. Wie, że ból można tylko przeczekać. Ale palce nadal trą nabrzmiałe powieki, aż do łez, aż na wilgotnych palcach pojawiają się wydarte rzęsy. Kiedy wreszcie otwiera oczy, ściany zatraciły swoją geometrię, stały się widmem kolorów, sufit—białą jednolitą przestrzeń, bez skazy, bez końca.

Kochany! Nie! Żadnych żalów. Żadnych! Budzę się wieczorami i oglądam przez okno światła Berlina, udaję, że jesteś tu ze mną. Chce mi się morza—zimnego, zielonego, pachnącego wodorostami i mokrym drewnem. Pragnę ucieczki od tej ciągłej gorączki. Mówisz mi, że zapominam o rzeczach istotnych, zastępując je ekstazą i rozpaczą. Słucham Cię. Czasami. U.

Twarz Anny jest rozpalona. Przykłada ręce do rozognionych policzków. Coś musi się teraz wydarzyć, jakieś konieczne następstwo tych odkryć, coś, co je wyjaśni i uwolni ją od nich. Na korytarzu słychać odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, czyjś

głos wznoszący się i gwałtownie opadający, uciszony, nagle ucięty. —Tak, tak—słyszy. — Bardzo mi przykro— Anna uświadamia sobie, że Valerie musiała wkładać te listy do skrzynki pocztowej Williama; przez lata musiała obserwować jak wyciągał je z niecierpliwością i spieszył do swojego biura by je tam otworzyć.

Wstaje i robi kilka kroków. To niesprawiedliwe, myśli. Nie teraz. Nie teraz, gdy William nie żyje, gdy nie może nic wyjaśnić. Ponownie siada przy biurku.

Kochanie. Twój głos brzmiał smutno i tak jakoś błagalnie. Przepraszam, że miałam tak mało czasu. Zadzwoniłeś w trakcie sesji. Próbowałam oddzwonić później, ale wyszedłeś już z biura. Nie, nie jest mi wcale łatwiej. To, że akurat ja to powiedziałam wcale nie znaczy, że to jest tylko i wyłącznie moja decyzja. Istnieje historyczny dowód na to, że będąc razem skończylibyśmy rzucając się sobie do gardeł, że spłonęlibyśmy w nienawiści, więc nie próbuj zmienić mojego postanowienia. Być może pojawię się w Montrealu w przyszłym miesiącu, chciałabym sfotografować twarze podczas waszych kanadyjskich narodowych parad, progres quebeckiego Referendum, więc nie dąsaj się na mnie zbyt długo. Powiedz mi raczej, co Twój wspaniały, niewinny kraj zrobi, gdy się zacznie rozpadać na kawałki. "Je me souviens?" Czyż nie te słowa widnieją na tablicach rejestracyjnych Waszych samochodów?

Referendum w Quebec. To na długo przed jej przyjazdem do Kanady. Oczywiście! Te listy były pisane zanim jeszcze poznała Williama. Okruchy czasu, do których Anna nie ma żadnych praw. William miał kochankę, wnioskuje Anna, kiedy był jeszcze żonaty z Marilyn. Nie powiedział jej o tym. Nie chciał, by myślała, że jest zdolny do zdrady. To przemilczenie jest bolesne, ale w gruncie rzeczy zupełnie zrozumiałe, można nawet pomyśleć, że jest pewną formą dyskrecji. Ona też nie opowiadała mu aż tak dużo o Piotrze.

Październik, 1979. Czerń jest jak trucizna, wysysa kolor, a ja poddaję się jej powoli. Najpierw odpływa nadzieja, potem opuszcza mnie energia. Siedzę i patrzę na ściany pokoju, czekając aż ten stan mnie opuści. Czekam aż dzięki boskiej pomocy nastanie nowy początek, któremu się poddam, aby powstać i zacząć od nowa.

Do niektórych listów doklejone są artykuły wycięte z magazynów. Złożone, pożółkłe na brzegach. Po niemiecku, po angielsku. Anna odkłada je na bok, z niecierpliwością. Będzie dosyć czasu, by je przeczytać. Teraz potrzebuje potwierdzenia.

Styczeń 1980. Nie, nie było tak źle. Mała potyczka między twórczością a zwątpieniem. Nie masz powodu do obaw. Zanurzam się w takie dnie bez oporów i wynurzam się silniejsza. Niebo ma kolor szafiru, a wiatr wciska się w pory skóry.

Wślizgnęłam się do tego małego kościołka, tuż za rogiem. Futra pachniały kamforą, słuchałam pastora, który miał złoty ząb i z lekka seplenił. “Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków.” Niewiele nadziei na zmiany, nicht wahr? Dziś obudziłam się pełna postanowień. Jak więźniowi, wystarczy mi łyżeczka do herbaty do kopania tunelu. Jak się uda, pozbędę się wykopanej ziemi, piasku i kamieni.

Marzec 1980. Przeszłam dziś wzdłuż Muru. Po wschodniej stronie drzwi i okna mieszkań wychodzących na Zachód są zaślepione. Berlin to przecież podzielone miasto; a nasze niemieckie metafory są solidne, z uzbrojonego betonu. Strażnicy po wschodniej stronie gotowi są strzelać i zabijać. Odważni nadal kopią tunele, uciekają kulom. Ci, którym uda się dotrzeć na naszą stronę, a czasami widzę ich w naszych barach, zapijają się do nieprzytomności, rzucają oskarżenia prosto w nasze twarze. Dla nich jesteśmy zimni, niewrażliwi, i naiwni. I nic nie rozumiemy.

Anna sprawdza pieczątki pocztowe, wiele listów nie ma daty. Przypomina sobie, że William trzymał szkło powiększające w jednej z szuflad biurka. Jest tam jeszcze, w czarnym skórzanym futerale. Przypatruje się uważnie zamazanym cyfrom. 1980, 1977. Luki w korespondencji, ale to tylko złudzenie, bo brakujące listy się odnajdują, przemieszczone jedynie, niezauważone. William znał Urszulę od wielu lat.

—Fotograf z Berlina, znajoma—powiedział kiedyś. Przez całe miesiące “fotograf” nie miał imienia, a Anna nie zapytała.

Podczas innej rozmowy padło imię, Urszula. Wspomniał je któryś ze znajomych Williama. Chyba Malkolm. Zapytał o przyjaciółkę—fotografa z Berlina. –Masz na myśli Urszulę? —zapytał William. —Kogo? —powiedziała Anna, a on powtórzył—Urszulę, no przecież wiesz, ta znajoma z Berlina, o której ci wspominałem.

W jego głosie wyczuła lekkie drżenie. Znak, że dźwięk jej imienia sprawiał mu przyjemność.

—Zupełnie zwariowana—dodał. —Nie potrafi się oszczędzać.

Wiele z tych listów pisanych jest ręcznie. Anna rozszyfrowuje je powoli, porównując kształty liter, zgadując słowa. *Życie jest zbyt krótkie by trawić je na małostki* – czyta. *Kocham Cię naprawdę, mimo że jesteś taki niecierpliwy*. – Czyta teraz pobieżnie, szukając zmiany tonu, oznak gasnącej miłości zamieniającej się w przyjaźń.

Wrzesień 1981. William, co się dzieje z naszą miłością? Osłabia mnie, ulizuje. Snuję się dniami z uśmieszkiem samozadowolenia i wszędzie widzę Twoją twarz. Łapię się na tym, że powtarzam Twoje słowa. Podśpiewuję, podskakuję z radości. Nie wpadaj

zaraz w samouwielbienie. To widok raczej żałosny. Właśnie dlatego proszę Cię, byś nie przyjeżdżał. Nie gniewaj się. Nie stracisz mnie nigdy. Po prostu pozwól mi pooddychać przez chwilę, a będę Cię za to kochać jeszcze bardziej.

Październik 1981. To nasze dusze, kochany. Nie mogą zapomnieć tych innych możliwych żywotów, których mogłyby doświadczyć. Przeraża mnie jak wiele musimy odrzucić, aby dokonać wyboru.

Październik 1981, Polka i emigrantka, William? Czyżby jeszcze jeden z Twoich gestów zadośćuczynienia?

Ból wargi. Dopiero po chwili Anna uświadamia sobie, że to jej zęby wbiły się głęboko w wargę, przecinając skórę. Na palcach, którymi przed chwilą dotknęła ust ślady krwi. Przez dłuższą chwilę patrzy na poplamione palce, zanim je wytrze. Tłumaczenia nie mają już sensu. —Idiotka—mówi na głos. —Skończona idiotka!

Słyszy głos matki. —Czego oczekiwałaś? Od Niemca?

Każda data na liście jest jak smagnięcie biczem. —Do samego końca—Anna powtarza, z niedowierzaniem. —Do samego końca.

Maj 1987. Nigdy nie obiecywałam, że będę wierna, i nigdy nie dopraszałam się o Twoją niepodzielną uwagę. Wiem dobrze, że

nigdy nie przyznasz się do zazdrości. Jak zwykle będziesz się dąsał i będziesz starał się mnie ukarać tymi swoimi śmiesznymi gierkami. Och, jak mogę sobie pozwolić na taką bezpośredniość. Przepraszam! Biedny mały Willi. Czyżbym raniła Twoją wrażliwość? Nie wierzę w sekrety i nigdy nie ukrywałam Twojego istnienia przed nikim w moim życiu. To Ty udajesz, że przeszłość można oddzielić od przyszłości, a ja Ci na to pozwalam. Daj mi więc spokój i oszczędź mi tych swoich kazań.

Marzec 1989. Nie gniewaj się. Obudziłam się dziś w tragicznym nastroju, pełna rozpaczy. Popatrzyłam na moje ostatnie zdjęcia. Są do niczego. Fałszywe, wymuszone. Zbyt naiwne, zbyt czyste. Okropność! Dobra fotografia jest jak przepowiednia, czyż nie tak? Powinna uchwycić coś z przyszłości, więc trzeba się spieszyć, bo czas zbyt łatwo zamienia takie przepowiednie w banał. Więc spieszę się jak głupia, gonię za każdą intuicją.

Styczeń 1990. Kiedy wracałam do Berlina, widziałam wschód słońca. Rozciągał się po niebie, różowy i czerwony i złoty. "Wstążka po wstążce." Pamiętasz kochany? Może masz rację, może nie jestem aż taka silna jak mi się wydaje. Zadzwoniłam do Lothara. Przyszedł i pozwolił mi mówić o Tobie, bez końca. Zrobił mi herbatę i skończyliśmy tę butelkę brandy, którą zostawiłeś. Nie byłam w stanie wypić jej sama.

Listopad 1990. Więc to już za tydzień. W Monachium. Na mojej

mapie świata zaznaczam czerwoną flagą wszystkie te miasta, w których spotykaliśmy się. Zaułki miłości. Mapa jest całkiem czerwona. Trzy noce i trzy dni. Nie mogę się doczekać.

Anna otwiera koperty, białe, niebieskie, różowe. W niektórych znajduje zasuszone kwiaty, które kruszą się pod jej palcami. Są też kawałki płótna, drobne drzazgi poszarzałego drewna. Po krótkich notkach następują długie listy, wycinki z gazet, całe strony z zakreślonymi przez Urszulę miejscami, upstrzone wykrzyknikami. Większość listów nadanych w Niemczech. *Mit Luftpost*, informują niebieskie naklejki, przez *Deutsche Bundespost*, ale są też listy pisane na szaroniebieskiej papeterii Hotelu Intercontinental w Genewie, z jej dwujęzycznym ostrzeżeniem: *L'expéditeur de cette lettre n'engage pas la responsabilité de l'hôtel*. Hotel nie bierze odpowiedzialności za treść listu. Anna nie zważa już na chronologię listów, wybiera je losowo, małe skrawki miłości, którą William tak dobrze przed nią ukrywał.

Mama przyjechała na kilka dni i oświadczyła, że muszę jej pozwolić wyremontować moją łazienkę. Kurki ciekły a ona westchnęła w ten swój śmieszny sposób. —Moja kochana córeczka! Niepraktyczna, nieodpowiedzialna, podstrzelona. Pije i pali bez umiaru. Kocha bez umiaru. Nie oszczędza się. Za dużo oddaje innym.

Powiedziałam, że może zrobić, co zechce z tą moją łazienką — co za błąd! Pojechałam na kilka dni do Paryża, a po powrocie zastałam ten różowiutki cud. Umywalka i wanna są w kształcie odwróconych muszli. Jedna ściana to olbrzymie lustro, druga pokryta różowymi kafelkami — na co szesnastym, białe muszelki. Policzyłam, więc wiem. Podłoga jest biała, beznadziejny pomysł, bo widać na niej każdy włos. Kupiła mi też całą stertę różowych i białych ręczników, grubych i miękkich. Tylko kurki są ciekawe. Styl Bauhaus, mosiądz, miłe w dotyku. Spodobają Ci się. Mama odjechała bardzo z siebie zadowolona, a ja, w grzesznym upojeniu, nalałam tych jej truskawkowych, kąpielowych płynów do wanny-muszli i moczyłam się tak długo, aż opuszki palców przypominały suszone śliwki. Próbowałam do Ciebie zadzwonić, ale już poszedłeś do domu, więc zamiast rozmowy marzyłam o Tobie.

Kochany! Nasza miłość jest tylko dlatego taka silna, że jesteśmy daleko od siebie i że zachowujemy dla siebie tylko to, co jest w nas najlepsze. Spotykamy się pełni tęsknoty, rozstajemy się zanim się nasycimy, zanim dopadnie nas zniecierpliwienie. Kiedy wracam do domu, dziękuję bogom za ciebie i wstrzymuję oddech, aby niczego nie zepsuć. A Ty? Ty starasz się wyobrazić sobie, do jakich granic moglibyśmy dojść, czym mogłoby być nasze wspólne życie. Ja nie jestem taka odważna. Urs.

Anna zrywa się tak gwałtownie, że przewraca dębowe

krzesło. Valerie, sekretarka Williama, musiała usłyszeć hałas za ścianą, bo puka do drzwi. —Wszystko w porządku? —pyta, jej głos pełny zaniepokojenia.

—Tak, wszystko w porządku—odpowiada Anna. —To tylko krzesło. Ja… przewróciło się na podłogę.

Otwiera drzwi i nawet udaje jej się wywołać lekki uśmiech na twarzy. —Nic takiego, powtarza, to tylko krzesło.

—Jestem tuż obok, gdyby mnie pani potrzebowała, Pani Anno. Valerie uśmiecha się i Anna wie, że ją uspokoiła.

—Bardzo dziękuję. — Zamyka drzwi i czeka, aż kroki Valerie oddalą się. Czas ucieka, a tyle jest do zrobienia. Najważniejsze, to wrócić do domu. Tu, na wydziale Williama, jest zbyt wiele osób. Valerie, koledzy. Biuro Malkolma jest tuż obok. Gdyby zaczęła krzyczeć, natychmiast by przybiegł.

Na podłodze leżą przygotowane pudła. WYRZUCIĆ pisze pośpiesznie na kartonowych pudłach czarnym mazakiem pozostawiającym po sobie ostry odór rozpuszczalnika. Opróżnia do pudeł zawartość szuflad, wsypując wszystko, co w nich znajduje. Spinacze do papieru, długopisy i ołówki uderzają o kartonowe ściany. Pineski, nożyczki, zwoje taśmy klejącej. Otwiera kolejne szuflady wypełnione papierami. Opróżnia je do

przygotowanych pudeł, garść po garści.

Wkrótce na biurku Williama pozostają tylko dwie fotografie i listy Urszuli. Anna wkłada listy i zdjęcie Julii do koperty i wpycha ją do torebki. Jej własna podobizna na drugiej fotografii denerwuje ją fałszywym wyrazem samozadowolenia, naiwną pewnością siebie.

Pamięta jak kochali się tu, w tym pokoju. Tuż za drzwiami. Kilka tygodni po ślubie, po wycieczce na Barbados, gdzie po raz pierwszy w życiu widziała palmy, gdzie po raz pierwszy kosztowała wilgotne, mięsiste kęsy papai. Wbiegła do tego biura by się z nim zobaczyć, z zaróżowioną twarzą, głosem pełnym podekscytowania.—Kochany, chcę Ci coś pokazać—powiedziała. Już nawet nie pamięta, co to było. Pamięta tylko, jakże teraz boleśnie, że wstał i zamknął za nią drzwi. Na klucz. —A ja chcę Ciebie—powiedział. Przyciągnął ją ku sobie, jego ręka wędrowała po jej plecach. Przycisnął ją mocno do drzwi i pocałował. Przez chwilę, zanim zamknęła oczy, spojrzała na siebie samą na tej właśnie fotografii, przyglądającą się im w tym właśnie momencie, pewną siebie, szczęśliwą. Czy w tamtej chwili William także myślał o Urszuli?



Ratusz we Wrocławiu, ruiny.

Tekst ukazał się w „Liście oceanicznym” – dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto w 2003 r.

„Konieczne kłamstwa” w polskiej wersji językowej ukazały się w wydawnictwie Twój Styl w 2004 r.

“Macbeth” w mieście awangardy



„Macbeth” w reż. Grzegorza Jarzyny, Nowy Jork, materiały prasowe

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Przypomnienie ciekawego wydarzenia teatralnego

Od 17 czerwca 2008 roku przez 12 wieczorów publiczność nowojorska miała okazję oglądać spektakl TR Warszawa – „Macbeth" – swobodną adaptację dramatu Szekspira", w reżyserii Grzegorza Jarzyny. Reżyser przeniósł akcję w czasy współczesne, opatrując przedstawienie aluzjami do walki z terroryzmem i sytuacji na Bliskim Wschodzie. Całość została spięta klamrą zbrodni i kary, która zawsze powraca, niczym bumerang. Mnogość scen, przypominających luźno ze sobą połączone klatki filmowe, wraz z efektami multimedialnymi powodowała, że gra aktorska schodziła na dalszy plan. Mimo zachowania zgodności wydarzeń szekspirowskich, aktorzy zdawali się być marionetkami w teatrze, podporządkowanymi widowisku. Między Macbethem (Cezary Kosiński) a Lady Macbeth (Aleksandra Konieczna) nie wytwarzało się napięcie, na którym opiera się dramat. Lady Macbeth w tym spektaklu cichnie, w porównaniu z wielkimi rolami dramatycznymi, które weszły do historii teatru. Tytułowy bohater także odbiegał od stereotypu postaci szekspirowskiej. Został pokazany, jak jeden z wielu, którzy opanowani rządzą władzy ulegają efektowi domina, zatracając przy tym swoje człowieczeństwo. Możliwe, że okrojenie bohaterów z głębi psychologicznej i stworzenie postaci idących w kierunku mechanizmów produkujących zło, jest

celowym zabiegiem, aluzją do „cywilizacji obrazkowej” i koszmaru współczesnego świata pochłoniętego wojnami.

Spektakl rozegrał się na pięciu pudełkowych scenach, na trzech poziomach. Oprócz licznych efektów dźwiękowych i specjalnych został wzbogacony o projekcje wideo, dzięki którym na ogromnych rozmiarów ekranie, widać było zbliżenia twarzy aktorów.

Sztuka opowiada szekspirowską historię posługując się współczesnym językiem. Nowojorski spektakl rozegrał się pod gołym niebem w Tobacco Warehouse, wynajętym na tę okazję przez teatr St. Ann’s Warheouse, u stóp oświetlonego wieczorem słynnego Brooklyn Bridge.

Nowatorskie podejście do klasyki zawsze wywołuje kontrowersje i porównania. Dlatego widowisko Grzegorza Jarzyny ma zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników. O spektaklu i dyskusji na temat „Macbetha” rozmawiam z Moniką Fabijańską – dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku, który niezwykle prężnie działa i przyczynia się do propagowania polskiej kultury w tym mieście awangardy.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Polska premiera „Macbetha” w

reż. Grzegorza Jarzyny odbyła się w Warszawie w 2005 r. w opuszczonej hali Zakładów im. Waryńskiego przy ul. Kolejowej. Jak to się stało, że po trzech latach spektakl mogła obejrzeć publiczność nowojorska i to na jednej z najlepszych scen teatralnych Ameryki – St. Ann's Warehouse na nowojorskim Brooklynie?

Monika Fabijańska: Instytut Kultury Polskiej zawsze współpracuje z dyrektorami tutejszych uznanych instytucji i razem z nimi wybieramy produkcje, które mogą znaleźć tu odbiorcę. Zabieramy ich do Polski na tak zwane „zakupy". Czasem jesteśmy pewni, co chcemy pokazać, czasami oni coś chcą wybrać, a my się wahamy. Tak było i w tym przypadku. Trzy lata temu zabraliśmy do Polski Susan Feldman – dyrektora artystycznego St. Ann's Warehouse. Jest to jedna z najbardziej wpływowych osób w amerykańskim świecie teatru. Po zobaczeniu warszawskiego spektaklu powiedziała: ja chcę „Macbetha" i koniec. My nie byliśmy na sto procent pewni, choćby ze względu na skalę przedsięwzięcia i ryzyka, ale Feldman była zdeterminowana. Przedstawienie miało się odbyć latem zeszłego roku, ale poprosiłam o przełożenie prezentacji o rok, uznając, że termin sierpniowy nie jest dobry, a prezentacja jeszcze nie gotowa. Szczerze mówiąc, bardzo się tym naraziłam Susan Feldman.

JSG: Jak wyobrażała sobie pani Susan Feldman spektakl w

Nowym Jorku?

MF: Kilkakrotnie rozmawiałyśmy na ten temat. My mieliśmy wątpliwości. W Ameryce niemal każda wioska, każdy campus uniwersytecki ma swój festiwal szekspirowski. Ludzie są zaznajamiani z Szekspirem już od wczesnego dzieciństwa. A ten spektakl nie posługuje się przecież oryginalnym tekstem. Zastanawiałam się więc jak zareaguje publiczność. – Właśnie takie podejście jest nowatorskie – odpowiadała Susan Feldman – i takiej interpretacji jeszcze tu nie widzieli. Ustawimy scenę nad rzeką, będzie wspaniale. Rzeczywiście, jest to największe tegoroczne wydarzenie teatralne w Nowym Jorku. O żadnym innym spektaklu tyle nie mówiono i nie pisano, na żadne inne przedstawienie tak długo nie czekano, i na żadną sztukę tak szybko nie sprzedały się wszystkie bilety.

JSG: Czym różni się spektakl nowojorski od spektaklu warszawskiego?

MF: Przedstawienia te różnią się zasadniczo. W Warszawie spektakl był grany w ogromnej, pustej, czarnej przestrzeni pofabrycznej. Pierwsze rzędy publiczności ustawione zostały ponad 20 metrów od sceny i ok. 15 metrów nad ziemią na podniesionym rusztowaniu. W efekcie publiczność nie patrzyła na gesty, szczegóły, psychologię. Z daleka widać ogólny obraz: wszystkie pięć scen naraz, i całość odbierana jest jak widowisko

zawieszone w nieokreślonej wirtualnej przestrzeni, niczym w grze komputerowej lub filmie.

Natomiast tutaj mieliśmy zupełnie inną sytuację. Szukanie odpowiedniej przestrzeni w Nowym Jorku do tego spektaklu zajęło półtora roku. Mieliśmy różne pomysły, łącznie z tym, że Susan Feldman rozważała podniesienie dachu St. Ann's Warehouse. To jednak okazało się zbyt drogim rozwiązaniem. W efekcie, scenografia do nowojorskiego „Makbeta" to ok. 70% wymiarów warszawskiej. Miejsca dla publiczności usytuowane są tuż obok sceny, co zmienia całą filozofię odbioru. Projekcje wideo, które przybliżają nam twarze, to też nowy element, którego nie było w polskiej wersji tego spektaklu. Reżyser poszukiwał innych rozwiązań formalnych, aby dotrzeć do widza w zmienionej sytuacji scenicznej.

JSG: Jak spektakl odebrali nowojorczycy, co pisali nowojorscy krytycy?

MF: Publiczności najwyraźniej spektakl się podobał. Oczywiście, są dyskusje – jedni po wyjściu ze spektaklu mówili: to było fantastycznie, nigdy nic lepszego w życiu nie widziałem; a inni: to okropne. Taka odmienność zdań świadczy o tym, że spektakl budzi kontrowersje, a to dobra oznaka. Jest to na pewno bardzo nowatorska propozycja współczesnego teatru. Wielu krytyków natomiast zarzuciło mu brak głębi. Po licznych zapowiedziach,

łącznie z ogromnym artykułem w New York Times, recenzje po spektaklu tę atmosferę trochę wyciszyły – choć nowa fala tym bardziej zaciekawionej publiczności zaczęła szturmować kasę teatru – bez najmniejszych zresztą szans na zakup biletu. Nigdy nie dzieje się tak, że się podbija i podbija apetyty, obiecuje bardzo dużo, ludzie wykupują bilety, a potem wszyscy dalej chwalą. Recenzenci piszą długie i wyczerpujące teksty: podkreślają nowatorstwo widowiska, pomysł przeniesienia spektaklu w przestrzeń niemal filmową, wysoko oceniają orkiestrację efektów dźwiękowych (każdy widz miał słuchawki), wideo i specjalnych, w tym pirotechnicznych, a zwłaszcza zapierającą dech w piersiach lokalizację – pomiędzy dwoma mostami, z widokiem na nocną sylwetę Manhattanu. Zarzucają natomiast Grzegorzowi Jarzynie, że nie wystarczająco skupił się na głębi psychologicznej i grze aktorów, że pomiędzy postaciami nie została wypracowana logika łącząca ich poczynania. W oryginale jest przepowiednia i tajemnica, a pomiędzy Lady Macbeth i Macbethem rozgrywa się ten niesłychany szekspirowski dramat. Krytyka twierdzi, że w spektaklu tego napięcia nie ma. Ja bym się z tym poniekąd zgodziła: więcej wysiłku włożono w warstwę widowiskową. Zbliżenie publiczności do sceny zakłóciło pierwotny pomysł interpretacyjny i zespół nie zdążył dopasować się do nowych warunków, a ulewne deszcze spowodowały, że nie wszystkie próby mogły się odbyć.

JSG: Odniosłam wrażenie, że spektakl był bardziej widowiskiem,

zbliżonym do komiksu, niż dramatem Szekspira.

MF: Wydaje mi się, że trzeba zobaczyć warszawskie przedstawienie, żeby do końca zrozumieć koncepcję reżysera. Moim zdaniem Grzegorz Jarzyna celowo stworzył tak zdepersonalizowane postaci. Widz nie identyfikował się tam z cierpieniem i przeżyciami Macbetha, ani nie wstrząsała nim bezprzykładna bezwzględność Lady Macbeth. Całość była włożona jakby w jeden ekran, odzwierciedlający chaos wojny dokumentowany zdjęciami z noktowizorów, którymi właśnie wtedy karmiły publiczność newsy, podczas gdy przeciętny człowiek, nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Tak więc oryginalny zamysł Jarzyny zasadza się właśnie raczej na ukazaniu braku logiki wojny, braku logiki psychologii dążenia do władzy, niż na dokładnej realizacji tekstu Szekspira.

Gdy spektakl zobaczyłam tutaj, spodziewałam się krytyki braku wewnętrznej logiki akcji czy psychologicznej głębi. Tu twarze aktorów są tuż przy twarzach widzów, którzy śledzą najdrobniejsze gesty. Wracamy więc pod wyimaginowany w tym przypadku (bo wygwieżdżony) dach intymnego teatru. Jesteśmy zamknięci w świecie razem z Macbethem, patrzymy mu na ręce, przyglądamy się prawdzie gry psychologicznej, tej nieprawdopodobnej paranoi, która ogarnia dwoje ludzi i która ma nas przerazić. A nie to przeraża w tym spektaklu. Zmiana skali według mnie nie do końca się udała, mimo przekonania

Susan Feldman. Ale to mogę powiedzieć ja, jedna z kilku zaledwie osób, które widziały obie realizacje, natomiast publiczność nowojorska miała swoje odczucia. Dla niej skala tej realizacji była ogromna.

JSG: Zwróciłam uwagę, że na spektaklu było bardzo dużo młodych ludzi i wyglądali na zachwyconych przedstawieniem.

MF: Kiedy Grzegorz Jarzyna zaczynał swoje eksperymenty teatralne, chciał przyciągnąć do teatru zupełnie nową publiczność, ludzi młodszych o dwa pokolenia od tych, którzy w Warszawie do teatru zwykle chodzili. Ta młoda publiczność pozostawała obojętna na uroki gry aktorskiej, odległa była od klasycznego języka teatru. To właśnie dzieci gier komputerowych znalazły w tych widowiskach swój język i znajomy sposób obrazowania świata. Koncepcja Grzegorza Jarzyny, dzięki użyciu takiego właśnie języka i środków teatralnych powoduje, że niektórzy młodzi ludzie, którzy inaczej niekoniecznie by to uczynili, mogą zainteresować się Szekspirem.

JSG: Sukcesu nie można mierzyć tylko recenzjami, sukces to też fakt, że o polskim teatrze dyskutuje się w Nowym Jorku, że ma swoich zwolenników i przeciwników.

MF: W tym sensie spektakl odniósł niebotyczny sukces. Moja zastępczyni, Agata Grenda, która nota bene odpowiedzialna

była za nasz program teatralny i ciężko pracowała nad tą produkcją, została zagadnięta przez kelnera w restauracji na Manhattanie skąd pochodzi. „Z Polski". „Z Polski?! A słyszałaś o Makbecie? Musisz na to iść!" A więc Makbet zamiast Wałęsy czy Papieża? Udało się to, co wydawało się niemożliwe: dotarcie z hasłem „Polska" odbieranym pozytywnie do przeciętnego Nowojorczyka, „pod strzechy". Najważniejsze instytucje kulturalne Nowego Jorku zyskały ostateczny dowód na to, że proponowana przez nas kultura polska może być prezentowana na wielką skalę produkcyjną, logistyczną, marketingową. To jest niesłychanie ważne, ponieważ ma bezpośredni wpływ na zainteresowanie każdą inną propozycją kulturalną z Polski, także mniej ekstrawagancką. A różnorodność jest niezwykle ważna. Cztery lata temu, gdy Jarzyna przyjechał ze spektaklem „Zaryzykuj wszystko", nie osiągnął takiego sukcesu, bo nie był on aż tak widowiskowy. Sprzedało się ok. 70% biletów, w prasie, w tym w New York Timesie ukazywały się dobre recenzje, ale nie było to wydarzenie na skalę tego miasta. Mimo że sztuka była świetna i głębi psychologicznej nikt jej nie odmówił. Więc czy można postawić pytanie, co jest lepsze?

JSG: Wydaje mi się, że każda inscenizacja zawsze będzie miała swoich zwolenników i przeciwników, bo każdy ma inne doświadczenia i na inne elementy zwróci uwagę.

MF: W tym wiecznie głodnym wrażeń kolosie, w którym

prezentujemy kulturę polską publiczność jest wyjątkowo różnorodna i spragniona nowinek. Mamy publiczność i starszą, i młodszą, bardziej wymagającą, i mniej wymagającą, różnych kolorów skóry, z różnymi doświadczeniami, zapleczem wiedzy z kraju, z którego pochodzi i z różnymi oczekiwaniami kulturalnymi. Staramy się więc pokazywać polską kulturę zróżnicowaną, w szerokim kontekście. Np. Krzysztof Warlikowski i Grzegorz Jarzyna to reżyserzy bardzo różni, każdy z nich ma swoich zwolenników i przeciwników. Jedni daliby się „pokroić" za Jarzynę, a Warlikowski jest dla nich zbyt intelektualny i nudny. Są też tacy, którzy twierdzą, że Warlikowski jest wybitny, ponieważ zajmuje się psychologią postaci, a Jarzyna robi fajerwerki. Jest więc wiele sposobów odczytywania kultury i powodów, dla których w tak różny sposób tę kulturę interpretujemy. My staramy się zainteresować Polską całą tutejszą publiczność, a nie tylko tych, którzy myślą tak samo jak my, swój prywatny gust pozostawiając dla siebie.



„Mackbeth” w reż Grzegorza Jarzyny, Nowy Jork, materiały prasowe



„Mackbeth” w reż Grzegorza Jarzyny, Nowy Jork, materiały prasowe



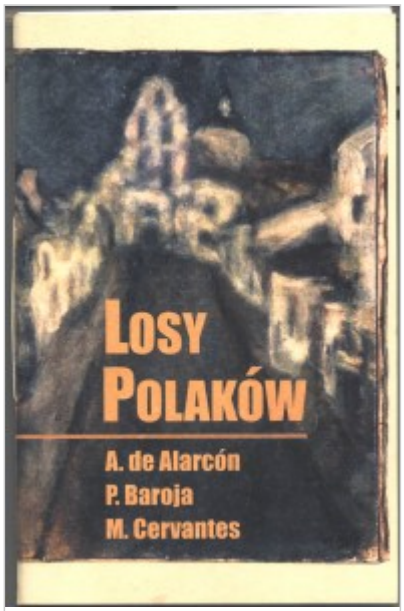
„Mackbeth” w reż Grzegorza Jarzyny, Warszawa, materiały prasowe

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, maj/czerwiec 2008 r.

Opowiadanie Polaka

Miguel Cervantes

tłum. Florian Śmieja



na okładce wykorzystano obraz Wilka Markiewicza.

Pątnicy dostrzegli wówczas opodal na gościńcu zbliżającego się jeźdźca. Kiedy się z nimi zrównał, zdjął kapelusz na powitanie,

lecz w tym samym momencie jego konisko potknąwszy się, jak się później okazało, na wyboju, runęło ze swoim panem na ziemię.

Wszyscy natychmiast rzucili się podróżnemu z pomocą, sądząc, że się dotkliwie potłukł. Chłopak Antonio złapał konia (był to wielki ogier) za uzdę, a jego panu pomagano wstać i dano lekarstwo w podobnych wypadkach stosowane: łyk wody. Stwierdziwszy, że nie odniósł żadnego szwanku, jak się obawiali, powiedzieli mu, że może z powrotem dosiąść wierzchowca i jechać dalej. On jednak odparł:

Waszmościowie, może to zrządzeniem losu spadłem w tym miejscu na ziemię, abym mógł powstać z niebezpieczeństw, w które wyobraźnia uwikłała mojego ducha. Chociaż o to nie pytaliście, pragnę wam oznajmić, że jestem cudzoziemcem i polskiej nacji. Swój kraj opuściłem będąc jeszcze chłopcem i przyjechałem do Hiszpanii, do tej Mekki cudzoziemców i wspólnej matki narodów. Służyłem Hiszpanom, opanowałem język do tego stopnia, jak mnie słyszycie. Gnany powszechnym pragnieniem ujrzenia obcych krajów, pojechałem do Portugalii zobaczyć wielkie miasto Lizbonę. W sam wieczór mojego przyjazdu do tego miasta wydarzył mi się niezwykły wypadek, w który możecie wierzyć lub nie, prawda znajdzie ostoję chociażby tylko w sobie samej.

Zaimprowizowana lecz doskonała przemowa niefortunnego jeźdźca zdziwiła Periandra, Huristelę i pozostałych towarzyszy. Pragnąc więc go wysłuchać, prosił go Periander, aby ciągnął dalej swoją opowieść, gdyż wszyscy mu wierzyli, zarówno powodowani kurtuazją, jak własną znajomością świata.

Pokrzepiony tym na duchu podróżnik mówił dalej:

– Pierwszego wieczoru w Lizbonie szedłem jedną z głównych ulic zwanych tam 'rua', szukając gospody, bo nie podobała mi się ta, w której stanąłem. W pewnej chwili, kiedy przechodziłem przez wąskie i brudne przejście, jakiś zamaskowany Portugalczyk trącił mnie z taką mocą, że upadłem. Krzywda, jaką mi wyrządził, obudziła we mnie tak szalony gniew, że pomstę powierzyłem szpadzie. Dobyłem jej, a Portugalczyk nie pozostał dłużny, broniąc się dzielnie i zręcznie. Czarna noc i czarniejszy jeszcze los sprzyjając mi sprawiły, że os-trze mojej szpady raziło go w twarz, tak że się odwrócił i runął na ziemię, a dusza uleciała Bóg tylko wie dokąd. Natychmiast strach przywiódł mi mój czyn przed oczy, przeląkłem się i szukałem w ucieczce ratunku. Chciałem zbiec, lecz nie wiedziałem dokąd? Odgłos ludzi, który zdawał się iść za mną, dodał nogom moim skrzydeł, więc nerwowymi susami przemierzyłem ulicę szukając, gdzie by się ukryć lub znaleźć miejsce na otarcie szpady, aby, gdy mnie zatrzyma straż, nie było wyraźnych śladów zbrodni. Nieprzytomny już od strachu ujrzałem światło w okazałej

kamienicy i wpadłem do wnętrza sam nie wiedząc, po co. Żnalazłem się w otwartej, pięknie umeblowanej sali. Wszedłem następnie do równie eleganckiego pokoju i wiedziony przez światło płonące w dalszym pomieszczeniu, zobaczyłem w wytwornym łożu damę, która przerażona usiadła pytając kim jestem, czego szukam, dokąd idę i kto mi zezwolił zapuścić się tak daleko bez żadnego respektu?

Odparłem:

– Pani, nie mogę ci odpowiedzieć na tyle pytań, mogę jedynie objaśnić, że jestem cudzoziemcem, który, zdaje się, zabił człowieka na tej ulicy bardziej z powodu nieszczęścia i jego lekkomyślności, niż z własnej winy. Błagam cię na Boga i godność twoją, obroń mnie przed ręką sprawiedliwości, bo sądzę, że jestem ścigany.

– Jesteś Hiszpanem? – spytała po portugalsku.

– Nie, pani – odpowiedziałem jestem cudzoziemcem. Mieszkam daleko od tej ziemi.

– Nawet, gdybyś był waćpan Hiszpanem, obroniłabym ciebie, gdy-by to było w mojej mocy. Obronię cię, jeżeli potrafię. Przejdź przez łóżko i schowaj się za arras w niszy, którą tam znajdziesz. Tylko nie ruszaj się, bo gdy przyjdzie straż, uszanuje mnie i

uwierzy w to, co jej zechcę powiedzieć.

Uczyniłem natychmiast, co mi przykazała. Uniosłem arras, znalazłem wgłębienie i wcisnąłem się w nie. Wstrzymałem oddech i zacząłem polecać się opiece Boskiej, jak tylko umiałem. Kiedy pogrążyłem się w tym nastroju, do alkowy wpadł służący wołając:

– Pani, don Duarte, pan mój, zabity. Niosą go tutaj zgasłego odepchnięcia szpadą na wylot przez prawe oko. Nie wiadomo, kim jest zabójca i co było przyczyną starcia, bo nawet szczęku broni nie było słychać. Jedynie chłopak jakiś widział, jak uciekający mężczyzna wbiegł do tego domu.

– To on bez wątpienia jest jego zabójcą – odpowiedziała pani – i nie ucieknie. Ach, ile razy obawiałam nieboga, że zobaczę, jak wnoszą syna bez życia, bo jego butne poczynania nie wróżyły nic innego, jak nieszczęście!

Czterech mężczyzn wniosło na barkach zmarłego i położyło go na ziemi na oczach bolejącej matki, która zaczęła lamentować.

– Ach, zemsto, jak dobijasz się do drzwi mojej duszy! Ale nie stanie się podług twojej woli, bo muszę dotrzymać słowa, choć boleść tak mnie ponosi!

– Wyobraźcie sobie państwo, co czułem, słysząc żałościwe słowa matki, której – tak mi się zdawało – obecność zabitego syna podsuwała tysiące rodzajów zadania mi śmierci, by się zemścić, bo było jasne, że musiała mnie uważać za zabójcę syna. Ale cóż innego mogłem zrobić, niż tylko milczeć i czekać w desperacji. Do pokoju wszedł strażnik, który z uszanowaniem zwrócił sią do pani;

– Kierowani wyznaniem pewnego chłopca, który twierdzi, że do tego domu uciekł zabójca panicza, odważyliśmy się wejść.

Nastawiłem ucha i w napięciu oczekiwałem odpowiedzi nieszczęsnej matki, która okazując wspaniałomyślność ducha i chrześcijańską pobożność, odpowiedziała:

– Jeżeli człowiek ów wszedł do tego domu, to w każdym bądź razie nie do tego pokoju. Możecie go szukać, choć będę prosiła Boga, byście go nie znaleźli, bo źle naprawia się śmierć drugą śmiercią, tym bardziej, jeżeli krzywda nie została wyrządzona ze złej woli.

Strażnicy poszli przeszukać dom, a mój duch wrócił do mnie, bo był mnie już odszedł.

Pani poleciła wynieść ciało syna i przygotować je do pochówku. Nakazała również, by ją zostawiono samą, bo nie czuła się na

siłach przyjmować kondolencje i pocieszenia licznych krewnych, przyjaciół i znajomych. Potem zawołała jedną ze swoich panien, widocznie najzaufańszą, i powiedziawszy jej coś na ucho, kazała jej zamknąć za sobą drzwi. Zrobiła tak. Wówczas pani usiadła na łóżku a dotknąwszy arrasu położyła ręce na moim sercu, którego szybkie bicie zdradzała strach, jaki je ogarniał. Kiedy to poczuła, rzekła łagodnie i smutno:

– Człowieku, ktokolwiek jesteś, wiesz, że zabrałeś mi oddech, światło moich oczu i życie samo, które mnie na tej ziemi trzymało Ale ponieważ rozumiem, że stało się to nie z twojej winy, chcę by moje słowo oparło się zemście i dlatego, aby dotrzymać obietnicy, że cię uwolnię, którą ci dałam, kiedyś tutaj wszedł, musisz zrobić to, co ci teraz każę. Zasłoń sobie twarz rękami, abym, jeżeli przez pomyłkę otworzę oczy, nie mogła ciebie w przyszłości rozpoznać. Wyjdź stąd z moją dziewczyną, która zaraz tu przyjdzie. Ona cię wyprowadzi na ulicę i da ci sto escudów w złocie, aby ułatwić ci ucieczką. Nikt cię nie zna, nikt nie podejrzewa. Weź się w garść, bo niepokój zazwyczaj zdradza sprawcę.

Na to weszła panna. Wyszedłem zza arrasu zakrywszy twarz ręką i na znak wdzięczności na klęczkach pocałowałem łóżko w nogach podążając następnie za dziewczyną, która milcząc ujęła mnie za ramię i przez tajne drzwiczki wyprowadziła na ulicę.

Żnalazłszy się tam, najpierw wytarłem szpadę i spokojnym krokiem skierowałem się na główną ulicę, gdzie rozpoznałem moją gospodę i wszedłem do niej, jakby nic się nie przydarzyło. Właściciel opowiedział mi o śmierci rycerza wyolbrzymiając szlachetność jego rodu a także zarozumiałość charakteru, która miała mu stworzyć tajemniczego wroga i przyspieszyła jego śmierć.

Ową noc spędziłem na modlitwie, Bogu dziękując za odebrane łaski oraz na rozpamiętywaniu bohaterskiego i nigdy przedtem nie spotkanego ducha chrześcijańskiego i wspaniałego czynu pani Guiomar de Sosa, bo tak się nazywała moja dobrodziejka. Rankiem pojechałem nad rzekę i zastałem tam łódź pełną ludzi, którzy udawali się na pokład wielkiego galeonu stojącego w Sangian, a mającego płynąć do Indii Wschodnich. Wróciłem do gospody, sprzedałem wierzchowca właścicielowi i spieniężywszy wszystko, co posiadałem, wróciłem nad rzekę do łodzi. Następnego dnia stałem daleko od portu na pokładzie galeonu, który podał żagle wiatrowi i pruł obraną drogą.

W Indiach spędziłem piętnaście lat, służąc jako żołnierz z dzielnymi Portugalczykami. Spotkało mnie tyle przygód, że można by napisać przyjemną i prawdziwą opowieść, głównie o czynach nie zwyciężonego w tamtych stronach narodu portugalskiego, godnych wieczystej chwały naszych czasów i wieków przyszłych. Tam uzbierałem trochę złota i pereł oraz

rzeczy o większej wartości niż ciężarze i wróciłem z nimi do Lizbony, korzystając z powrotu do niej generała. Stamtąd wybrałem się w drogę do ojczyzny, zdecydowawszy najpierw zwiedzić wszystkie większe i piękniejsze miasta hiszpańskie. Dobytek spieniężyłem i wziąłem przekazy na wydatki potrzebne w podróży, bo najprzód zamierzałem jechać do Madrytu, do którego niedawno sprowadził się dwór wielkiego Filipa III. Ale fortuna moja, znudzona noszeniem łodzi mojego losu po morzu życia ludzkiego przy pomyślnym wietrze, zechciała by łódź ta najechała na mieliznę i doszczętnie się tam rozbiła. Żrządziła więc, że pewnego wieczoru przybyłem do Talawery, miejscowości leżącej niedaleko stąd. Za-trzymałem się w pewnym zajeździe, który nie był mi zajazdem, ale grobem, bo tam pogrzebałem mój honor.

O przemożna mocy miłości, miłości, mówię, nieopatrznej, chciwej i źle zamierzonej, z jaką łatwością depczesz po dobrych zamiarach, czystych intencjach, rozsądnych propozycjach! Kiedy więc stałem w owej gospodzie, weszła do niej dziewczyna mająca lat około szesnastu; tak mnie się przynajmniej wydawało, choć później dowiedziałem się, że liczyła dwadzieścia dwa lata. Miała upięty warkocz, a odziana była schludnie w gorset i spódnicę z samodziału. Kiedy przeszła obok mnie, wydało mi się, że pachnie jak kwitnąca łąka w maju i zapach ten, pobudzający zmysły, przewyższał wonie Arabii. Podeszła do pewnego młodzieńca w zajeździe i mówiąc mu coś do ucha parsknęła śmiechem, po czym

pokazawszy mu plecy wybiegła z zajazdu do domu naprzeciwko. Chłopak pobiegł za nią, a nie mogąc jej doścignąć, kopnął ją tak, że rymnęła jak długa. Widziała to inna dziewczyna z zajazdu i gniewem uniesiona odezwała się do parobka:

— Na Boga, Alonso, źle robisz, bo Luiza nie zasłużyła na to, byś ją kopał.

— Jako żywo, nie będę jej takich kopniaków żałował — odpowiedział Alonso.

— Zamilcz, droga Martino. Takie żywe panienki zasługują na to, by im nie żałować nie tylko ręki ale i nogi.

To powiedziawszy zostawił mnie z Martiną, którą spytałem, kim jest Luiza i czy jest zamężna, czy nie.

— Jest panną — odrzekła Martina — ale wnet będzie żoną tego Alonsa, któregoś waćpan widział, bo rodzice już się porozumieli w sprawie małżeństwa. Alonso waży się kopać ją, jak tylko mu dokuczy, a tylko bardzo rzadko na takie traktowanie sobie nie zasłuży. Bo jeśli mam być szczera, Luiza jest nieco zuchwała, swawolna no i rozpuszczona. Mówiłam już jej dosyć o tym wszystkim, ale bez skutku. Nie zmieni się, choćby jej oczy wykłuli. Bo zaprawdę najlepszym posagiem, jaki kobieta może wnieść, jest skromność. Bóg zapłać mojej matce, która nie

pozwalała mi patrzeć na ulicę nawet przez dziurkę, a co dopiero wychodzić na próg do bramy. Dobrze wiedziała, że, jak zwykła była mówić, kobieta i kura itd. (padają ofiarą wychodzenia z domu, przyp. FS)

— Powiedz mi, pani Martino — odpowiedziałem – jak to się stało, że z surowości owego nowicjatu dostałaś się na szerokie wody zajazdu?

— Dużo by się o tym dało powiedzieć — rzekła Martina, a i ja miałbym więcej o tych sprawach do powiedzenia, gdyby się na to znalazł czas i pozwoliła boleść, którą w duszy noszę.

Z zajęciem słuchali pielgrzymi cudzoziemca i bardzo chcieli dowiedzieć sią, jaką to boleść ów Polak w swoim sercu nosił, gdyż obolałości ciała sami się domyślali. Odezwał się więc Periander:

Opowiedz waćpan, co chcesz i tak obszernie, jak umiesz, bo często szczegóły urozmaicają i upiększają opowiadanie. Toć na uczcie przecież obok pieczonego bażanta stawia się miskę zielonej, świeżej, smacznej sałaty. Sosem każdej opowieści jest szczególny język, w który jest ubrana. Więc ciągnij pan ową historię, opowiedz o Luizie i Alonso, kop Luizę, ile ci się tylko podoba, wydaj ją lub nie wydaj za mąż. Niech będzie swawolna, rozpuszczona jak dziki sokół, bo najważniejszą, rzeczą, podług

mojej astrologii, nie jest jej swawola, ale jej dalsze losy.

– W takim razie – odpowiedział Polak – mogę was zapewnić, że z waszym przyzwoleniem dam pod wasz osąd wszystko, co wiem. Skupiwszy cały rozsądek, jakim rozporządzałem, a musiało go być niewiele, przez całą noc rozważałem wdzięk, urok i swobodę tej, jak mi się wydawało, nie mającej sobie równej, sąsiadki czy znajomej mojej gospodyni. Układałem tysiące planów, zbudowałem tysiące zamków na lodzie, żeniłem miałem dzieci i funta kłaków nie dawałem za to, co o mnie mówiono. W końcu postanowiłem porzucić pierwotny zamiar wyjazdu i pozostać w Talawerze jako mąż bogini Wenus, bo dziewczyna, chociaż bił ją parobek z zajazdu, wydała mi się nie mniej piękna od Wenus. Na tym przeszła noc. Rano zbadałem puls i doszedłem do wniosku, że stracę życie, jeżeli wnet nie poślubię tej chłopki, bo jej oczy zniewoliły mnie zupełnie. Usuwając wszystkie przeszkody, postanowiłem pomówić z jej ojcem i poprosić go o jej rękę. Pokazałem mu perły i pieniądze, chwaliłem swoją przemyślność i gotowość, by bogactwo, nie tylko zachować, ale jeszcze pomnożyć. Te argumenty i widok moich dóbr sprawiły, że stał się miększy od rękawiczki i zgodził się na wszystko, szczególnie kiedy widział, że nie żądam posagu i zadowolę się jedynie urodą córki.

Alonso popadł w rozpacz, a Luiza, moja żona, w gniew, jak to wykazały wypadki, które się wydarzyły dwa tygodnie później,

przynosząc mi ból, a jej niesławę. Mianowicie, żona moja zabrawszy część klejnotów i pieniędzy, za namową i z pomocą Alonsa, uciekła z Talawery, zostawiając mnie, żałującego, na pośmiewisko. Przez długi czas nie mówiono w mieście o niczym innym, jak tylko o jej przewrotności i szelmostwie. Krzywda nakłaniała mnie do zemsty, ale nie było na kim się, mścić, chyba na samym sobie. Nieraz brałem do ręki powróz, żeby się powiesić. Los jednak, może w celu naprawienia szkód mi wyrządzonych, sprawił, że ujęto moich wrogów i osadzono w więzieniu w Madrycie. Powiadomiono mnie, bym przyjechał i postawił ich przed trybunałem. Jadę przeto, by ich oskarżyć i zażądać sprawiedliwości. Jadę zdecydowany, aby krwią zmyć plamy na moim honorze i przez pozbawienie ich życia zrzucić z barków ciężar ich postępku, który mnie przytłacza i niszczy. Muszą umrzeć, jak Bóg na niebie. Na Boga, że muszą się zemścić. Bóg mi świadkiem, że świat cały musi się dowiedzieć, że krzywdy nie darują, a cóż dopiero takiej, która sięga do dna mojej duszy. Jadę do Madrytu. Już się czuję lepiej po upadku i mogę dosiąść konia. Nie przepuszczę nawet komarom! Nie chcę słyszeć ani próśb zakonników, ani płaczu dewotek, ani przyrzeczeń czułych serc, ani darów bogaczy, ani rozkazów wielmożów, ani całego zgiełku, który zwykł w podobnych wypadkach powstawać. Mój honor musi wznieść się nad krzywdą, jak oliwa wypływa na wodę.

To rzekłszy podniósł się szybko i lekko, aby wsiąść na konia i

kontynuować wojaż. Widząc to, Periander ujął go za ramię i zatrzymał mówiąc:

– Waszmość, zaślepiony gniewem, nie umiesz dostrzec, że w ten sposób rozniesiesz i powiększysz swoją niesławę. Dotąd jesteś zniesławiony tylko u tych, którzy cię znają w Talawerze, a tych musi być niewielu, a teraz będziesz znany tym, którzy o tobie usłyszą w Madrycie. Chcesz być tym wieśniakiem, co w zanadrzu hodował żmiją przez całą zimą i za łąską Niebios nie znalazł jej, bo uciekła, kiedy nastało lato, a ona mogła użyć jadu. Wieśniak, nie bacząc na łaskę Niebios, począł szukać tego, czego znalezienie nie wróżyło nic dobrego. Bo głosi przysłowie: 'Uciekającemu nieprzyjacielowi buduj srebrny most', a także: 'Największym nieprzyjacielem mąża jest jego własna żona'. Ale to chyba znajduje usprawiedliwienie u innych wyznań, a nie u chrześcijan; u wyznań, gdzie małżeństwa są pewnego rodzaju układem i ugodą, jak wynajęcie domu czy innej nieruchomości. Wedle wiary katolickiej natomiast małżeństwo jest sakramentem, który jedynie śmierć rozwiązuje lub warunki surowsze od śmierci, zwalniające małżonków od współżycia z sobą, lecz nie rozwiązujące węzła, którym zostali związani. Czyżby waćpan co zyskał, oglądając swych wrogów ujętych przez prawo, związanych i poskromionych na publicznym widowisku dla tłumnej gawiedzi, widząc, jak błyszczące ostrze toporu na szafocie godzi w ich karki? Jakby ich krew potrafiła, jak waćpan mówisz, oczyścić twój honor! Cóż możesz tym zyskać, jak nie

powiększenie niesławy? Bo zemsta karze, ale nie usuwa winy. Krzywdy, które nam wyrządzono, jeśli nie zostały naprawione z dobrej i nieprzymuszonej woli, wciąż trwają i żyją w pamięci ludzkiej, przynajmniej, póki żyje osoba pokrzywdzona. Dlatego wejrzyj waćpan w serce swoje i okazawszy miłosierdzie, nie domagaj siec sprawiedliwości. To nie znaczy, że radzę żonie wybaczyć i przyjąć jag z powrotem do domu, bo nie ma takiego prawa, które by do tego zmuszało. Radzę ją porzucić, co jest najciąższą karą, jaką, ją można ukarać. Żyj z dala od niej, a będziesz żył, co byłoby nieprawdopodobieństwem, gdybyście byli razem, bo ciągle byście umierali. Rzymianie często używali prawa odrzucenia, chociaż godniejszym chrześcijanina miłosierdziem byłoby wybaczyć jej, przyjąć ją, znosić i radzić jej. Trzeba najpierw zmierzyć swoją cierpliwość i poczynać bardzo roztropnie; przymioty to, którym tylko niewielu może zaufać w tym życiu, szczególnie, jeśli są one wystawione na tak ciężka próbę. Wreszcie weź pod uwagę, że popełnisz grzech śmiertelny odbierając im życie, czego czynić nie wolno nawet dla wszelkich korzyści, które światowa sława przynieść może.

Raptus Polak wysłuchał tych rad Periandra z uwagą, a mierząc go od stóp do głów spojrzeniem odpowiedział:

— Waćpan mówiłeś ponad swój wiek. Rozum twój idzie przed latami, a dojrzałość umysłu przed zielonością żywota. Anioł kładł ci w usta słowa, które uśmierzyły moją zawziętość. Nie pragnę

bowiem teraz niczego, jak tylko powrotu do mojej ziemi i złożenia Bogu podziękowania za okazane łaski. Pomóż mi wstać, bo jeżeli gniew mi przywrócił siły, nie wypada, by mnie ich zbawiła rozważna cierpliwość.

— Wszyscy chętnie to uczynimy- odparł Antonio, ojciec.

Pomogli mu wsiąść na konia, on zaś uściskawszy każdego oświadczył, że postanowił wrócić do Talawery, by uregulować sprawy swojego majątku, a potem z Lizbony odpłynąć do ojczyzny. Podał im swoje nazwisko: Ortel Banedre, co po hiszpańsku znaczy Marcin Banedre i polecając się ich pamięci zawrócił w stronę Talawery, zostawiając wszystkich w podziwie dla swoich przygód i umiejętności ich opowiedzenia.



Miguel Cervantes

Opowiadanie pochodzi z książki „Losy Polaków”, trzy opowiadania hiszpańskie w tłumaczeniu Floriana Śmieji, wyd. Silcan House, Mississauga 2003 r., projekt okładki Wilek Markiewiecz.